

# ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 22 września 1946 r.

Nr 38 (95)

## Przemiany w polskim nacjonalizmie

Stronnictwo „Narodowe” było w Polsce, w okresie międzywojennym, potęgą polityczną. W wyborach do Sejmu w latach 1919, 1922, 1928 zdobywało od 10 do 30 procent głosów, a co do liczebności było pierwszym lub drugim z rzędu stronnictwem polskim. Byłoby złudzeniem sądzić, że wpływy jego zupełnie dziś znikły. Z tych ideologii politycznych, które nie mają swoich legalnych odpowiedników w partiach politycznych, jest z pewnością do dziś dnia najsilniejsze. Dlatego próba zbadania, jakim uległo przemianom, wydaje się potrzebna.

Nie ulega chyba wątpliwości, że duży odsetek dawnych i nowych sympatyków tego stronnictwa podsyca dziś „fas” i akcję skierowaną przeciw obecnemu ustrojowi. Świadczy o tym zarówno stanowisko wielu przywódców Stronnictwa „Narodowego” na emigracji, jak i dawny jego stosunek do zagadnienia żydowskiego — bez mała identyczny z postawą obecnego „podziemia” do tej kwestii. Nie wiadomo, jak nasz ustrój ustosunkuje się w przyszłości do kwestii swobody działania stronnictw politycznych, — sądząc, że długo jeszcze nie będzie ona mogła być nieograniczona, — niemniej jednak można przypuszczać, że dawni sympatycy Stronnictwa „Narodowego” jeszcze długo będą podstawą legalnej lub nielegalnej opozycji antyustrojowej.

Obok tej jednak grupy, na której twórczy udział w budowie państwowości polskiej liczyć nie można i nie należy, istnieją pewne odłamy dawnego Stronnictwa „Narodowego” lub grup do niego zbliżonych, które zajmują stanowisko inne, bardziej pozytywne. Należałoby się zastanowić, czy przemiany, jakie zaszły w tych grupach, są dość głębokie, by pozwoliły uważać je za zdolne do pozytywnej aktywności w dzisiejszych warunkach. Pierwsza — to grupa skupiona obecnie około tygodnika „Dziś i Jutro”, którą można by określić jako personalną kontynuację dawnej „Falangi” czy „Obozu Narodowo-Radykalnego”, choć znalazła się w niej tylko drobna część dawnych zwolenników tych organizacji. Nie sądząc, by należało kwestionować szczerść przemiany tej grupy: dla zwolenników skrajnego nacjonalizmu przeziom wewnętrzny spowodowany okupacją hitlerowską musiał być najgłębszy, wszak zobaczyli, do czego w rzeczywistości prowadzi ideologia, im najbardziej bliska. Hitlerizm demoralizował społeczeństwo, ale także, jako głęboki wstrząs, mógł stać się czynnikiem umoralniającym. Grupa „Dziś i Jutro” najszybciej znajduje drogę do nowej Polski. Ale i tu pewne zjawiska mogą budzić wątpliwości. Zwróciło np. uwagę kilka pozornie niepolitycznych artykułów Jana Dobraczyńskiego o Adolfie Nowaczyńskim. Panegiryczny ton wspomnienia o „najgwałtowniejszym człowieku tamtego pokolenia”, właśnie dlatego, że był najgwałtowniejszym

— musł zastanowić. Nie dlatego, że Nowaczyński był — bez mała jedynym w Polsce — entuzjastą Geobbelisa i jego metod. Fakt, że nie dał się on użyć w czasie wojny Niemcom do agitacji antysemitkiej, dowodzi,

że w zawodowym paszkwilancie tkwiło dużo godności narodowej. Ale oto co się podoba w Nowaczyńskim jednemu z czołowych publicystów „Dziś i Jutro”: „Nowaczyński ma w rzeczywistości skłonność do unadczowie-

ozania pewnych imponujących mu jednostek... Każdy tłum jest tłumem dzieci, bandą zjadaczy chleba, wieczną republiką babińską”. Ten ton Nowaczyńskiego, trafnie uchwycony, cieszy się widoczną sympatią Dobra-

czyńskiego, a wiemy, do jakich niebezpieczeństw prowadzi kult „nadczołowieka”, wiemy, że taki stosunek do mas nie da się pomieścić w ramach demokratycznej rzeczywistości. Tu tkwi niebezpieczeństwo.

Druga, względnie pozytywna grupa, to starzy działacze Stronnictwa „Narodowego” reprezentujący kapitalistyczny liberalizm na podłożu formalnie demokratycznym. Już przed wojną było im trudno zmieścić się w tym stronnictwie, w czasie wojny jeszcze trudniej. Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli tego skrzydła nacjonalistów polskich, Marian Seyda, ogłosił ostatnio w Londynie broszurę „Z zagadnień polityki demokratyczno-narodowej”. Nie można nie doceniać wielkich zasług Seydy dla sprawy odzyskania naszych ziem zachodnich, i w latach 1918—1920, i w czasie drugiej wojny światowej. Nie można także nie doceniać jego dobrej woli i chęci zrozumienia i zaakcentowania tego wszystkiego, co się stało w Polsce w ostatnich dwóch latach. Ale jego broszura jest panegirkiem na cześć przeszłości Stronnictwa „Narodowego”. Nie widzi w niej żadnych błędów. Stosunek stronnictwa do zagadnienia żydowskiego bez mała przemilcza, a mówiąc tylko o sprawie żydowskiej w Poznańskim stwierdza: „Chodziło o to, by proces ten (usuwania Żydów z Poznania) doszedł do pełnego końca a rozwinął się zdrowy, możliwie silny polski stan mieszczański”. To dziś — po Hitlerze — trochę za mało dla odciążenia się od metod hitlerowskich, choć nawet wyraża zastrzeżenia wobec „brutalnych środków antysemitycznych”.

Stanowisko Seydy wobec dzisiejszej rzeczywistości to uznanie reformy rolnej, ale z „koniecznością korekty”. Uznanie nacjonalizacji podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, ale nadzieja, że „życie wysunie tu naturalne hamulce”; niewiele pozytywnych wskazań ustrojowych, ale najsilniejszy nacisk na „ogólny klimat polityczny, w jakim żyje kraj”. Cała broszura, jasna w akceptacji i docenieniu obecnych granic zachodnich, jest, jeśli chodzi o sprawy wewnętrzne, zapowiedzią krytycznej opozycji, ale w ramach systemu gospodarczo-społecznego, jaki zaistniał w Polsce i z uznaniem podstawowych zasad tego systemu.

Nacjonalizm polski przechodzi pewne przemiany. Przemiany te pozwalają mieć nadzieję, że część jego dawnych zwolenników może się kiedyś stać pozytywnym czynnikiem w życiu polskim. Nie sądząc, by mogła nim być w czasie najbliższym. Zbyt silne odłamy dawnego Stronnictwa „Narodowego” wolą walkę z nowym państwem niż pozytywną, choć nieraz krytyczną współpracę. Zbyt wiele jest w tych odłamach nieprzemysłowego kultu własnej przeszłości.

JULIAN PRZYBOS

### NOWE POEZJE

#### Noc majowa

Z głębi snu wyniósł mnie na powierzchnię jawy  
jakby oddech — niczyj a ogromny.

Gwiazdka stała nad ruiną Warszawy  
jak najwyższy, najmniejszy pomnik.

Oddychała odrodzona zieleń,  
dźwięk był tkliwy i nikły.

Nam, którzyśmy ich śmierć przemilczeli,  
śpiewał słowik — z ich ciszy odmiłkły.

#### Na pejzażu

Eugeniuszowi Eibischowi

Ze szaługami przy żniwie  
zbierasz widok tak dojrzały, że zaświecił  
z płótna na powrót w słońce.

Ja maluję naiwnie  
koniczynką zerwaną na łące  
łąkę pachnącą w tym kwiecie.

I już widzę: twój gołowy pejzaż  
barwniej niż mój i wierniej  
schodzi wolno ku żęńcom na ściemni:  
rozszerzasz  
wspólne piękno ich i swojej roboty.

Słowa i sierpy zmiłkną,  
nie mówię — współmilczę tylko  
i nie piszę — lecz uskrzydlałem piórem dotyk,  
z widnokręgów jak z równania kót wyniknę:

Wezmę z sobą ten krajobraz jak choinkę,  
przesadzę go w Krakowie za oknem.

#### Na „Dzień ptaków”

Świł. Słkorka raniuszek  
z sił nawietrznych cędzi świst swój w moje wiersze,  
wypowiem je na Poranku,  
ideę, nucąc, w pochodzie do ptaków.  
Jeszcze jednej zwrotki nie uszedł...

Dzieci niosą umajone domki ptasie;  
moja córka chwyla w dłońki każdy powiew,  
chwyla powiew — a wypuszcza bazię;  
w takim domku chce zamieszkać,  
oto wije gniazdko w wietrze,  
puch wikliny z wiewem wikła  
wabi wilgę i oswoi słowika —

Jak kadłubek ciasna dla nas wiosna miejska...  
W łarninie na cierniu pączka kropkę słońca  
kładę, pisząc.

Jeszcze śnieżka  
już zakwitła na kołcach?

#### Ułotna

Nad świetlistymi wzgórkami obłoków  
— z jedną tylko przepaścią: ziemię —  
nad deszczem, w słońcu, uniesiona ze mną,  
łonna,  
mała i tak czuła od spełnionych przeczuć,  
że zastąpiłaby łzę w oku —  
trwa, czy mija?

Córeczko, dłońce rozłul,  
niech uleci — niczyja.  
Czyżbyśmy ją na zawsze wmówili  
przebytemu wledy powietrzu,  
jak jaskółkę, która gniazdo ulepiła  
u okienka samolotu?

Córeczko, dłońce rozłul...  
Jakbym w locie lot wymijał,  
by uchylić się od chwili,  
nie lecę — tylko przypominam.



Barbara Zdanowska

Krajobraz pomorski

Konstanty Grzybowski



społecznie, antyklerykalnych i wolnościścielskich.

Czy zmienił ideologię z latami pracy? Chyba nie, a w każdym razie nie w tym kierunku. Nie znajdujemy w jego dziele specjalnie czarnych, nienawistnie potraktowanych reprezentantów szlachty wiejskiej (karconej raczej po ojcowsku za lekkomyślność i niedoświadczenie życiowe); mało który pisarz polski dał tak obszerną galerię zawsze z sympatią szkicowanych sylwetek księży (u Kraszewskiego są i tacy, ale obok nich — bezdusznymi fanatycy, obłudnicy, karierowicze swojego stanu). Prus ostatecznie, jak już wspomnieliśmy, żył w zgodzie aż do śmierci z kołami reprezentowanymi do września 1939 roku przez „Kurier Warszawski”, a o jego światopoglądzie mówią dostatecznie „Emancypantki”, gdzie wykład filozofii ateistyczno-materialistycznej (dość rozsądny zresztą i treściwy) włożony jest w usta lajdaka, a niewątpliwym portre-parole autora, poczciwy i mądry profesor Dębicki, obszernie (w specjalnie temu poświęconym, czwartym, największym tomie tej olbrzymiej powieści) koordynuje wywody spekulatywnego idealizmu z odpowiednio dobranymi danymi nauk ścisłych dla celów apologetycznych, dochodząc dalej, niżby tego żądał dzisiejszy filozof katolicki, w uzgodnieniu np. przyrodniczych hipotez o powstaniu wszechświata z tradycją Pięcioksięgu.

Tytuł „postępowiec” implikuje określone stanowisko w kwestii kobiecej, tak aktualnej za jego czasów, właśnie wchodzącej w stadium praktycznego rozwiązania. Gdy ukazywały się „Emancypantki”, praktykowały już w Polsce pierwsze kobiety-lekarki, a całe zastępy panien, którym bądź zamożność i przychylnie stanowisko rodziców, bądź nie znająca przeszkód energia życiowa pozwalały na to, wybierały się do wyższych zakładów naukowych, tych, które stały już otworem dla kobiet. Tymczasem powieść Prusa jest raczej potępieniem lub wyśmianiem całego ruchu. Kobiety samodzielnie giną tragicznie jak pani Latter, albo okrywają się śmiesznością w oczach czytelnika. Jedyna otoczona sympatią autora „emancypantka”, Madzia, bezradnie stworzenie, choć „wcielenie dobroci”, nie jest oczywiście wzorem emancypowanej, a nawet nie odpowiada żadnym potocznym i zwykłym w owym czasie znaczeniom słowa. Starszy o trzydzieści kilka lat Kraszewski o ileż bardziej wyrozumiałe stanowisko zajmuje względem znacznie radykalniejszej, naprawdę skrajnej pod każdym względem, zwłaszcza obyczajowym, emancypantki, rewolucjonistki, uczestniczki Komuny Paryskiej. Cała ideowa niechęć wiekowego pisarza nie oślepia go; dostrzeżenie on wyższość tej bezwyznaniowej, uznającej tylko „wolną miłość” kobiety, obciążonej w dodatku czynnym udziałem w wyrotowej akcji społecznej, nad potulną gąską, jej własną siostrą, imienniczką i precesorką Prusowej Madzi\*). Zresztą nawet dla tych najskromniejszych form emancypacji, które cieszą się uznaniem niezwykle surowej na tym punkcie literatury polskiej, już pod piórem Kraszewskiego („Sobieradzka”) i niektórych jego współczesników, a potem Orzeszkowej, popierającej kobiety, które da-

ją sobie radę w życiu jako nauczycielki, wychowawczynie, gospodynie stancji uczniowskich, szwaczki itp., Prus z rzadka tylko, i przy postaciach dalszoplanowych swych utworów, znajduje słowa poparcia.

Nie mniejsze rozczarowanie spotka nadzieje, związane z ogólnikowym ujęciem Prusa jako „postępowca”, jeśli idzie o walkę z rasizmem. Zamiast spodziewanego patrona asymilacji Żydów, której złotym okresem są właśnie lata młodości i początki działalności Prusa, znajdujemy w nim postawę sprzeczną z wielką tradycją literatury polskiej, Mickiewicza czy Kraszewskiego, bardzo odmienne, jeśli chodzi o współtowarzyszy w „trójcy powieściopisarzy”, od wielkiej, powszechnie uznanej roli Orzeszkowej w dziele ludzkiego ustosunkowania się do Żydów, ba, nawet od zupełnego milczenia w tej kwestii Sienkiewicza. Nie brak wprawdzie u Prusa sympatycznych sylwetek Żydów, i to dość znaczną grającą rolę w rozwoju akcji powieściowej na korzyść losów głównych bohaterów: Jojne Niedoperz w „Placówce”; Szmul w „Anielce” (pomimo niewyraźnej oświetlonej roli, jaką odgrywa w sprawie ocaleń majątku i porozumienia z chłopa mi co do serwitutu) — oto wcielenia zaobserwowanego doskonale, właściwego Żydom, czynnego współczucia dla nieszczęść bliźniego. Ale już w tej samej „Placówce” mamy zdecydowanie ujemne dla upragnionego przez czytelnika rozwoju akcji dwie figury Żydów, potentata finansowego i demoralizującego wieś karczmarza; podobnych postaci nie zliczysz w nowelach i powieściach Prusa, który korzysta wprawdzie z tradycyjnej postaci dobrego i śmiesznego zarazem biednego Żyda (tradycja ta doczekała się niedawno bardzo niezbytliwego oświetlenia pod piórem J. Andrzejewskiego, por. nr 27 i 28 „Odrodzenia”), ale jako społecznik raczej wyjaskrawia ujemne oddziaływanie Żydów na rozwój społeczny Polski, zwłaszcza wiejskiej.

To, jeśli chodzi o kulturalnie obca społeczeństwu, wśród którego żyła, narodowościową grupę żydowską. Jeśli chodzi o grupę mniej lub więcej kulturalnie zasymilowanych Żydów, nawet tych, którzy brali czynny udział w życiu narodu i w jego walce o niepodległość, dzieląc spadek nań za to kary i cierpienia, pogląd Prusa jest również zabarwiony pesymistycznie. „Lalka” jest obszernym terenem, na którym dość wszechstronnie wypowiada się w tej kwestii, wprowadzając do akcji powieściowej kilka sylwetek, które bądź ukazują niesympatyczne, tradycyjnie przypisywane Żydom cechy charakteru, bądź zdradzają, wyjaskrawioną jakby intencjonalnie przez autora, niezdolność adaptacji psychicznej do społeczeństwa polskiego. Z tego punktu widzenia „Lalka” jest ważną (choćby dlatego, że chyba pierwszą) manifestacją antysemityzmu w Polsce opartej nie, jak dotąd, na obiektywnych danych społeczno-ekonomicznych skutków istnienia w Polsce niezasymlowanej masy żydowskiej, lecz na przeświadczeniu o rasowej ich nieprzydatności do współżycia z narodem polskim.

Pozostaje jeszcze do omówienia znaczenie Prusa w mobilizacji sił narodowych do zaczynającej się na nowo, jeszcze za jego życia, walki o niepodległość. Wspomnieliśmy już, że był on w pewnym okresie — okresie aktywności ruchu „ugodowego” — atakowany przez niepodległościową część społeczeństwa, a raczej przez niektóre jej grupy nacjonalistyczne, przeciwstawiające się, w wewnętrznych sporach narodu, stronie „postępowej” i przychylniej socjalizmowi. Ta ostatnia natomiast strona oszczędzała Prusa, rozumiejąc, że choć jako humanitarysta, pacyfista, „organiczny”, trzeźwy „realista życiowy” (por. poprzednie uwagi o jego stanowisku społeczno-ekonomicznym) jest przeciwnikiem powstania, ale sentymentem (pomimo tego, co wypowiadają jego usta i piśmo) pozostaje niewątpliwie starym powstańcem, choć rozumowo osądającym ruch, w którym sam brał udział. Ze się nie myłono, dowodzi napisana już później, gdy sprawa „ugody” należała w dawnej

\* Hipotetyczny stosunek „Emancypantek” do powieści Kraszewskiego i jego Madzi do Madzi z utworu Prusa, wyłożyłem obszernie w studium „Niespodziewana bohaterka Kraszewskiego” („Skamander” ze stycznia 1939).

swjej formie do przeszłości, powieść „Dzieci”. Równie mało poczyna, jak współczesne jej „Wiry” Sienkiewicza, również skierowana przeciw rewolucyjnemu ruchowi pierwszego dziesięciolecia naszego wieku, równie małego znaczenia dla formowania się nastrojów politycznych w Polsce w przededniu wielkiej wojny. Ale podczas gdy „Trylogia” przyczyniła się, jak to powszechnie wiadomo, do „wojennizacji” Polski, dostarczając znaczną część, zwłaszcza chłopskiego i drobnomieszczańskiego, kontyngentu Legionom (które, przy sposobności można dorzucić, nazwę swą zawdzięczają „Popiołom”), usług podobnych Sienkiewiczowi przy wciągnięciu ludu w orbitę walki o niepodległość i wskrzeszeniu bojowości narodu, Prus nie złożył; jest pozycją w najlepszym razie obojętną pod tym względem.

3

Ale jeśli szeroki ogół mylił się w ujęciu społeczno-ideologicznej roli Prusa, to może nie mylił się w jego ocenie jako artysty? Niewątpliwie, modyfikacje, którym może ulec ta ocena będą mniej znaczne, a w każdym razie mniej oczywiste. W dziedzinie sądu estetycznego trudno o dowody rzeczowe, które by mogły wymusić jednomyślne uznanie; mimo to postaramy się jednak o ukazanie niektórych aspektów Prusa nie odpowiadających jego potocznym określeniom.

Do nich należy przedstawianie go jako naczelnego przedstawiciela realizmu powieściowego w Polsce. Pod tym względem krytyka żywiła już od dawna poważne wątpliwości. Przed blisko pół wiekiem, Ignacy Matuzewski szkie swój „Fantastyzm u Prusa” („Tyg. Il.” z r. 1897, nr 51, poświęcony mu z powodu ćwierćwiecza twórczości) zaczyna słowami: „Prus nie był nigdy realistą w ścisłym znaczeniu tego słowa”. A dalej mówi o elemencie fantastycznym w nowelach Prusa, o jego naukowej podbudowie, o jego zainteresowaniach metafizyką i tym „au delà”, które odgrywało tak ważną rolę w pojęciach naprawde godnej człowieka fizjonomii „fin de siècle”; „o wyobraźni poetyckiej autora „Lalki”, o jego zasadzie „chodząc po ziemi trzymać głowę w niebie”. Ale parę utworów z udziałem elementu fantastycznego, na które nieco przesadny akcent kładzie Matuzewski, nie mogłoby jeszcze naruszyć poważnie zespołu cech zasadniczego realizmu, ujawnionych w całości dzieła. Ież to jego uznanych protoplastów, od Waltera Scotta poprzez Balzaka, Turgieniewa i Maupassanta, umiało właśnie użyciem fantastyki potwierdzić swój tytuł realisty! Realizm Prusa posiada znacznie poważniejsze mankamenty, wady w literalnym czasem sensie słowa — organiczne, gdyż np. w sposobie widzenia i odczuwania umieszczonego w przestrzeni świata, związane z chorobą organizmu, klinicznie stwierdzonym u Prusa cierpieniem agorafobii. Tak przynajmniej, w swoim znanym studium „O wyobraźni artystycznej Bolesława Prusa”, Jan Bystron wyjaśnia część osobliwości jego opisów, jego deformacje rzeczywistości i jego emocjonalnie zabarwione odczuwanie przestrzeni. Choć może należałoby podać rewizji wyjaśnienie Bystrona (przyjęte przez wielu jego następców m. in. i przeze mnie w uwagach „Na marginesie Emancypantek”) i ze sfery psychoneuropatologii przenieść w sferę ściślej przynależną do badań poetyki historycznej, a wówczas niezwykłości Prusa znalazłby się może na linii rozwojowej obrazowania poetyckiego, wiodącej od schyłkowego romantyzmu do Juliana Przybosa; bądź co bądź, nawet tak zlokalizowane historycznie, prusowskie ujmowanie świata nie poprze jego tytułu realisty, a u najmniej nawet uważnego czytelnika, najmniej zwracającego uwagę na właściwości stylistyczne przebiegającego szybko utworu, musi stwarzać w podświadomości specjalne odczucie świata Prusa, które najprościej da się wyłożyć słowem „irrealizm”.

Najpierwszą jednak chyba i najbardziej konkretnie dającą się pochwycić przyczyną tego wrażenia jest charakterologia Prusa, sposób malowania postaci załudniających jego świat. Uwagi moje poczynione na marginesie „Emancypantek”, dałyby się rozszerzyć na całość dzieła Prusa. Zresztą jeśli chodzi o pierwociny jego twórczości, dawno zauważono,



Bolesław Prus

że panuje w nich karykatura, postaci przeszarżowane albo i wcale obywające się bez rodowodu z rzeczywistości, gdyż bytujące od dawna w wędrownych wątkach anegdot i facecji. Ale technika karykatury, zarysowywania sylwetek skąpymi charakterystycznymi kreślakami i wprawiania w marsz poprzez całą akcję tych niepełnych ludzi, dwuwymiarowych i niezmiennych, poza przewidzianymi ich prostym i otwartym dla oczu czytelnika mechanizmem odruchami — towarzyszy dalszej twórczości Prusa. Przykładem konsekwentnego jej zastosowania w całej książce jest drugi tom „Emancypantek”; ma on swoich wielbiciele, nawet między czytelnikami, którzy to dostrzegają; ale to są zarazem prawi „dickensisci”, miłośnicy „Pickwicka”, zachwyceni widzowie igraszek nie liczącej się z rzeczywistością fantazji humorystycznej. Niezależnie jednak od odczuwanego w stosunku do takich dzieł zachwyty czy irytacji, łatwo uzyskać chyba zgodę na irrealizm ich ludzkiego światka. Świat ten ma jakąś złudność szklanego obrazka, czegoś zza szyby, może zza szybki „okularów humorysty”, nie chcącego widzieć w życiu patosu zwykłych lecz silnych i brutalnych namiętności — których tragicznie rozdzierający siatkę każdorazowej obyczajowości i obyczajności jest najbardziej wieczną prawdą w sztuce, kłamrą spajającą tragedię grecką z powieścią dzisiejszą.

Należy sądzić, że tej techniki charakterologicznej, „dickensowskiej” (zastosowanie tej etykiety nie jest wcale insynuowaniem naśladownictwa: nie u Dickensa wyłącznie ją spotykamy, ani też jemu możemy przypisać jej wynalazek!) Prus używał z wyboru, nie z organicznej konieczności swej natury twórczej. Obok marionetek, „figur Kostrzewskiego”, szablonów dawno zużytych i wytartych u Kraszewskiego, zwłaszcza w przedstawianiu arystokracji, znajdziemy też u niego przykłady innych sposobów budowania charakterów. Rzadko jednak będziemy mogli mówić o triumfie artystycznym w tej dziedzinie: Latterowa stanowi wyjątkowy przykład przeprowadzonej konsekwentnie dialektyki namiętności. Ież, po drugiej stronie bilansu, napotkamy rezonerów (Dębicki) lub jednostronnych wcieleni jakichś zalet, charakterów „idealnych” (Madzia, Solscy, Stawska) albo, na odmianną, „czarnych” (Norscy). Coś, co wyłącza wspomnieliśmy śmiertelników Izabellę Łęcką, pozostaje zawsze przy tej postaci, usprawiedliwiającej tytuł „Lalki”, ale czy zgodnie z konsekwentnym zamiarem autora, który przecież odstania czytelnikowi jej psychikę kilku znakomicie wnikliwych spojrzeniami? Może to tylko wynik niekonsekwencji, jeszcze jedno niepowodzenie w zakresie charakterologii, jakiego kolosalnym przykładem jest postać głównego bohatera tej powieści, który do pewnego stopnia pozostaje „sobowtorem” (w tym sensie, jak nazwane tak przez

Adamczewskiego postaci Żeromskiego, zwłaszcza te, których nazwiska kończą się na „omski”), z duszą jak tabula rasa, przygotowaną do zapisywania refleksji autora, a do pewnego stopnia płataną szkicowych konturów, sprzecznych między sobą i sprzecznych nade wszystko z wyrażoną bądź przez narratorkę, bądź przez usta uwierzytelnionych obserwatorów w samej powieści. Wokulski, zapowiedziany jako żelazny mąż czynu, indywidualność decydująca w wielkim środowisku, odsłania przed nami duszę przeczuloną aż do neurastenii, bezradną wobec nieszczęść świata i społeczeństwa, bezradnie zaplątaną w monomanię miłośnej, której same narodziny z urzędują pięknej panny w teatrze, rzucają ciężki cień nieprawdopodobieństwa na wszystkie wyniki z nich konsekwencji; w niczym to uczucie nie przypomina żadnej z możliwych odmian namiętności erotycznej dorosłego, ba, dojrzałego i doświadczonego mężczyzny, dalsze jest od niej niż rodząca się z zaszytymi opowieści o pięknej księżniczce zamorskiej miłość trubadura Joffre Rudelka\*). Może nie tak jaskrawe, ale niemniej jednak wystarczające dowody niezdolności tworzenia żywych, pełnych ludzi, niezdolności obiektywizacji bohaterów, niezależniania stworzonych postaci od swego ja, rozsypane są wśród pierwszoplanowych figur utworów Prusa. Proste to przeciwieństwo z Kraszewskim np., twórcą tak olbrzymiej ilości bardziej lub mniej udatych, bardziej lub mniej wycieniowanych, czasem oryginalnych, często banalnych, ale zawsze żyjących prawdziwym życiem, trójwymiarowych postaci ludzkich.

\* Sprawiedliwość nakazuje dodać, że tak jest w początkowej części „Lalki”; dalsza jej część, od sielanki czasów wiejskich poczynając, wprowadza portret Wokulskiego i akcję powieści na tory realizmu powieściowego. Ale w tej pierwszej połowie — reklamowany z boku bohater, bezpośrednio danymi naszej obserwacji rysami — jak widać niezamierzonej przez autora charakterystyki, zaprzecza swę reklamie. Nikt nie uwierzy, żeby ten hebes był zdolny nawet do zrobienia majątku; jakoż, jak się dowiadujemy, spadło to nań przypadkiem przez ożenek naprzód, potem dlatego, że posag wziął w obroty sprytny kupiec-Rosjanin. Wokulski może tylko stracić majątek swą sentymentalną filantropią, bezwolnym uleganiem kaprysom miłości i potrzebom snobistycznego włączenia w arystokrację.

(Dokończenie nastąpi)

Zaprenumerować

„ODRODZENIE”

można w każdym urzędzie pocztowym

Prenumerata kwartalna 120 zł

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

STANISŁAW MACKIEWICZ (CAT)

# Zajmujemy się proszkiem od bólu głowy<sup>\*)</sup>

Hitler od chwili ogłoszenia gwarancji angielskich niepodległości Polski (na których wyszliśmy jak Zabłocki na mydle) zaczyna rokować z Rosją i wiadomości o tych rokowaniach via Niemcy i ich sojusznicy, jak Włochy, Bułgaria, rozchodzą się po kancelariach dyplomatycznych, nie trafiając zresztą do prasy. (Obacz „Złotą księgę francuską“).

Hitler rozpoczyna wojnę z Polską przemówieniem na cześć współpracy niemiecko-rosyjskiej. Z Rosją **przenigdy już** — tutaj głos Führera — nie dojdzie do konfliktu — a frenetyczne okłaski całego niemieckiego parlamentu jak najbardziej podkreśliły to „przenigdy już“. Myśle, że klaskający Niemcy byli szczerzy: — rozpoczynając wojnę, bali się wojny na dwa fronty, cieszyli się z zapewnienia Hitlera, że przynajmniej z Rosją wojować nie będą. Tylko Polacy nie boją się wojny ze wszystkimi naokoło.

Znamy z ogłoszonych dokumentów dyplomatycznych, że Niemcy kusili marszałka Piłsudskiego wspólną wyprawą na Rosję, że obiecywali mu buławę hetmańską nad wszystkimi wojskami idącymi na Rosję i że on oparł się tym kuszeniom. Skąd ta odmowa? Wiemy, że w okresie przygotowań przewencyjnej wojny z Niemcami marszałek zlecił swoim ludziom robienie polityki prorosyjskiej, czego jaskrawym wyrazem był wyjazd Miedzińskiego do Moskwy i jego tam toast: „Przyjaciele!“ Ale to wynikało z przeczności marszałka i z tego, że nie mógł robić polityki takiej jak Beck w 1939, to znaczy przygotowywać się do walki z Niemcami, nie łagodząc stosunków z Rosją, opierając całe swe zabezpieczenie na słodkich obietnicach królowej zza morza. Umizgi przejściowe marszałka do Sowietów nie zmieniały tej prawdy historycznej, że marszałek w głębi duszy żywił program rozczłonkowania Rosji na państwa odrębne, oswobodzenie Kaukazu, mahometanów Azji środkowej, czyli żywił program, który przypisujemy Richelieu w stosunku do Niemiec.

O marszałku da się powiedzieć, że ryzykował mając dziewięć szans przeciwko jednej. Rydz w 1939 r. nie miał nawet stosunku odwrotnego, nie miał w ogóle cienia jakiegokolwiek szansy. Nie było to żadne ryzyko, lecz wprost samobójstwo.

Zaraz po powstaniu rządu polskiego w Paryżu zaczęli do Francji napływać ochotnicy z Polski, którzy przedzierali się przez góry, granice, niebezpieczeństwa, aby mieć szczęście ubrać się w polski mundur i zginać dla Ojczyzny...

...Jedną z najgłośniejszych „spraw personalnych“ było oskarżenie pułk. Matuszewskiego o... uratowanie złota Banku Polskiego. Rzecz się miała w sposób następujący: prezes Banku Polskiego, p. Adam Koc, człowiek słabego zdrowia, spotkał w Łucku 9 września 1939 r. pułk. Rajchmana, byłego ministra przemysłu i handlu, jadącego bez przydziału służbowego w towarzystwie pułk. Matuszewskiego, byłego ministra skarbu i hr. Krynstyna Ostrowskiego i zaproponował tym panom, aby objęli nadzór nad transportem złota Banku Polskiego, które uciekało z Warszawy w 40 ogromnych autobusach miejskich. Pułk. Rajchman objął komendę nad tym transportem i zaczął się wymykać aeroplanem niemieckim, które ten konwój śledziły... W Śniatynie złoto zostało załadowane do pociągu, a pułk. Rajchman zawrócił z drogi i pojechał do Łwowa ratować złoto Funduszu Obrony Narodowej, prosząc, aby jego żona mogła wyjechać wraz z konwojem złota za granicę. Wszyscy trzej panowie znaleźli się w Łucku w towarzystwie swoich żon i panie te dalej pojechały z nimi, pełniąc zresztą w czasie podróży różne funkcje pomocnicze, których wymagały okoliczności, jak chociażby

przenoszenie skrzynek ze złotem na pociągi lub okręty. Pociąg ze złotem ruszył teraz pod komendą pułk. Matuszewskiego, który wykazał nadzwyczajną energię i pomysłowość przepychając pociąg przez Rumunię, aż do Konstancy, gdzie zafrachtował statek handlowy angielski i przetransportował złoto do niego. Wszystko trzeba było robić jak najprędzej, ale oto i tak władze rumuńskie aresztują okręt na skutek interwencji niemieckiej. Matuszowskiemu udaje się jednak namówić młodego Anglika, dzielnego kapitana okrętu, aby nie zważając na zakaz rumuński wyjechał bezprawnie i bez załatwienia jakichkolwiek formalności w porcie. Brakuje jednak marynarzy — Matuszowski z kapitanem okrętu wynajdują w ciągu kilku godzin po szynkach portowych dostateczną ilość ludzi i okręt zaliczają do floty rumuńskiej. W Konstancyniepu Matuszowski (nie zapominajmy, że to dawny szef wywiadu wojskowego) dowiadywa się, że Niemcy znaleźli jakiś okręt grecki, który ma rzekomo przypadkowo zderzyć się z naszym okrętem, aby go zatopić. Robi się więc maskaradę z rzekomym przedławianiem złota na inny okręt, a naprawdę ładuje się złoto znów do pociągu i jedzie do Bejrutu. Stąd trzy statki francuskie wiozą nasze złoto do Marsylii.

Z początku p. Koc, ówczesny minister skarbu, winał Matuszowskiemu wielkiego wyczynu i wypłacił mu tmiem rządu remuneration, potem jednak artykuły w gazetach francuskich chwalały p. Matuszowskiemu zdenerwowały rząd i Matuszowskiemu wytoczono szereg zarzutów, jak na przykład, że wśród rachunków, z wydatków na przeladowanie złota, znalazła się przypadkiem kwota wydana na proszek od bólu głowy, kupiony dla pani Rajchmanowej. Istotnie pewnego dnia upalnego nie tylko płacono taragarzy, ale też poiono ich napojami chłodzącymi, a cały personel jadący pomagał przy noszeniu skrzyń; w pospiechu i zamieszaniu ktoś proszek kupiony w aptece zapisał do wydatków. Nie było wielkiej zbrodni w tym, że ten ekspens znalazł sobie miejsce w nieodpowiedniej rubryce, suma wydatkowana na ten proszek odpowiadała kilku groszom, wobec czego nie wpłynęła wybitnie na podrożenie transportu. Zresztą byłoby może na miejscu, aby jakiś pedant urzędnik zażądał od pani Rajchmanowej zwrotu równowartości pieniężnej proszku od bólu głowy, było jednak rzeczą niepożądaną, że rząd Rzeczypospolitej w takich czasach, jak te, które przeżywał w Paryżu, czas trać na studiowanie kwestii proszka od bólu głowy i dyskutował nad nią. Zarzucano zresztą w ogóle Matuszowskiemu, że wioził kobiety na pokładzie okrętu i kazano tym paniom zapłacić rachunki za transport, co było trudne do uzasadnienia, ponieważ przejazd tych pań nie dodatkowo nie kosztował, gdyż były zafrachtowane pociągi i okręty, a nie miejsca w pociągach i okrętach i panie te mogły z Bukaresztu pojechać do Paryża koleją, a jeśli pojechały ze złotem, to tylko dlatego, by pomagać. Wspomnijmy tu, że żoną pułk. Matuszewskiego jest laureatka olimpijska i poetka, znana jako Halina Konopacka. Zarzucano wreszcie Matuszowskiemu zupełnie idiotycznie, że niepotrzebnie podróżył koszty transportu, które na ogół bardzo tanio wypadły, wynajmując w Bejrucie trzy statki zamiast jednego; podczas gdy on zrobił to całkiem świadomie, w obawie łodzi podwodnych niemieckich; a frachty statków były znikome wobec wartości wziętego skarbu — około miliarda franków szwajcarskich w złocie.

Całe to oskarżenie nosiło najwybitniejszy charakter szykan i przycepek personalnych. Tym niemniej urzędnik Banku Polskiego, który donosił zarzuty, zrobił z miejsca karierę i został później wiceministrem. Nienawidził do Matuszewskiego była ogromna. Był to jeden z naszych ministrów skarbu, który zdał egzamin; świetny mówca i publicysta; niewątpliwie jedna z najwybitniejszych inteligencji spośród tych, których na arenę dziejową wysunął Piłsudski. Do tych ogólnych powodów, wystar-

czających do szkalowania człowieka, dołączyły się jeszcze inne, bardziej wstydliwe. Oto Matuszowski w swoim czasie organizował prasową kampanię w sprawie Żyrdardowa, wielkich zakładów włókienniczych pod Warszawą, które dostały się w ręce p. Boussaca, Francuza, a pewne osobistości z Grand Orientu brały go rąco w obronę tego p. Boussaca i jego interesy finansowe...

Cała sprawa z pułk. Matuszowskiem znów sprowadza nas na manowce kwestii masonowskiej. W tej sprawie kluczają sami masoni, kluczają też plotki o nich, kluczają przesady, kluczają gwałtowne zaprzeczenia, że żadnych masonów nie ma. Są tacy, którzy masona widzą pod każdym łóżkiem i zza każdego fotela i są tacy, którzy nie wierzą w ogóle w istnienie masonerii.

Moje wiadomości o polskiej masonerii są bardzo chaotyczne i niedokładne. W Wilnie istniała loża szkocka, która zwalczała moją osobę ze wszystkich sił i wszelkimi sposobami mało poważnymi i humorystycznymi. Obiektywnie jednak uważam ryt szkocki za mniej szkodliwy niż Grand Orient, bo moment „obcej agentury“ działa w nim mniej sprawnie. Przed wojną istniał u nas tylko Grand Orient, zawleczonego do nas via sfery adwokatury rosyjskiej z Francji. Niektórzy z tych masonów (ale nie wszyscy) zajęli stanowisko niepodległościowe i pomagali Piłsudskiemu. Dlaczego, a raczej jak się to godziło z ich Grand Orientem — nie wiem, ale wielu rzeczy nie wiem w tej sprawie. Ryt szkocki miał się u nas zjawiać dopiero po wojnie, przy tym założycielem jego stał się podobno pułkownik włoski, znajomy Wieniawy-Długoszewskiego. W ten sposób nasz ryt szkocki przyszedł do nas z Włoch. Pomiędzy Grand Orient a ryt szkockim istnieją poważne różnice organizacyjne. Grand Orient jest organizacją uniwersalistyczną, posiada jedną władzę kierowniczą na cały świat, która mleci się we Francji, albo mleciła się we Francji. Grand Orient podobno nie zakładał nawet łóż w innych krajach, a tylko włączał masonów innych krajów do łóż francuskich. Ryt szkocki jest autokefaliczny, posiada organizacje narodowe, które komuniują się jedna z drugą, ale nie ulegają jedna drugiej.

W jakimś roku 1922 miało nastąpić porozumienie się wszystkich masonów w Polsce. Ale porozumienie to chyba musiało się rozpaść. Zresztą ryt szkocki także się później rozpadł. Po zamachu majowym część szkocką zaczęła zwalczać marszałka Piłsudskiego, część pozostała w jego organizacjach. Nieśwież był bezwzględnie zwalczany przez szkotów, Dziaków znacznie mniej. Nieśwież organizowali konserwatyści wileńscy, Dziaków konserwatyści krakowscy. Piłsudski w pewnym momencie zabronił swoim ludziom należenia do łóż masonowskich. Ciekawe, że zbiega się to z jego przemówieniem o agenturach obcych. Za życia Piłsudskiego była aktualna walka „pułkowników“ ze szkotami wewnątrz samego BBWR. Organizacje tajne są zawsze niebezpieczeństwem dla kraju — wiadomo gdzie się zaczynają, nie wiadomo, gdzie się kończą, nigdy nie wiadomo, jakie interesy nimi kierują. Wszelkie organizacje polityczne degenerują się po pewnym czasie, ołów organizacje tajne degenerują się prędzej od innych.

Co do Grand Orient, to mam wrażenie, że na gruncie polskim ta organizacja pokrywała u nas francuski wywiad wojskowy oraz interesy francuskiego kapitału. Pomiędzy Piłsudskim a Grand Orient istniała zawzięta nienawiść.

Wróćmy jednak do Paryża, a raczej do Angers, bo tam się przeniósł rząd polski dnia 22 listopada 1939 na życzenie Francuzów. Generał Kazimierz Sosnkowski przyjechał z kraju z ogromnym autorytetem. Nie ciążyła na nim odpowiedzialność za katastrofalny wynik wojny, bo wiadano, że był od przygotowań wojennych odsunięty przez Rydza. Znał to jego stanowisko polityczne wyrażone przez niego w zdaniu, że „systemu Piłsudskiego bez Piłsudskiego stosować nie można“ i wobec tego pewne koła opozycji przed woj-

na wysuwały jego osobę na premiera rządu zgody narodowej, a znów był najstarszym rangą oficerem polskim. Po przyjeździe do Francji Sosnkowski wystąpił ze słusznymi uwagami, że łączenie funkcji premiera i wodza naczelnego w jednym ręku nie jest zgodne z duchem konstytucji obowiązującej. Nasuwała się więc możliwość podziału tych stanowisk z tym, że jedno z nich przypadłoby Sosnkowskiemu, co byłoby mile widziane przez wojsko, z którym Sikorski musiał się liczyć. Sprawę załatwiono jednak w sposób następujący: oto zrezygnowano z uprzedniego zamiaru mianowania Sikorskiego następcą prezydenta i następcą prezydenta mianowany zostaje Sosnkowski, a premierem i naczelnym wodzem pozostaje Sikorski. Rydz otrzymał 7 listopada dobrze zasłużoną dymsję.

Sosnkowski wprowadził nutę bardziej serio do działania rządu na emigracji. Przed jego gabinetem uformował się co prawda natychmiast ogonek byłych ministrów, byłych posłów i w ogóle osób z obozu sanacyjnego, odsuwających przez nowy régime. Ludzie ci byli bardzo zadowoleni, że Sosnkowski nie przyjmował ich tak ochoczo, jakby oni tego chcieli. Nie mieli racji. Sosnkowski nie mógł w tych warunkach podjąć się roli anty-Kota. Gdyby zaczął grać z Kotem w football personaliami, to by już nierzeczywistym zająć się nie mógł. Tymczasem w kraju powstało, we wspaniałym porywie patriotycznym, około 60 spiskowych organizacji militarnych. Trzeba było ich łączyć, skoordynować. Sosnkowski, rezygnując z wszelkiego udziału w reprezentowaniu rządu polskiego wobec Francuzów, podjął się pracy nad rekonstrukcją siły militarnej wewnątrz kraju. Jak zawsze to, co robił, było najinteligentniejsze, najmądrzejsze, najbardziej patriotyczne. Jak zawsze brakowało mu bezwzględności i brutalności.

Powołano Radę Narodową jako instytucję bez kompetencji.

Powołanie jej było pod jednym względem kłeską sprawą polską...

...Powołanie Rady Narodowej bez Ukraińców i w ogóle bez terytorialnych mniejszości ze wschodu Polski było kłeską Polską. Kto wie, czy to także nie było zasugerowane z zewnątrz.

Podobno minister Seyda sprzeciwił się powołaniu Ukraińców twierdząc, że chodzi o instytucję „narodową“. Ale Rada Narodowa nie była jednak jakąś instytucją reprezentującą wyłącznie naród polski, skoro w nich brał udział p. Szwarzbart, Żyd, syjonista z Krakowa, który się bynajmniej do narodu polskiego nie zaliczał, przeciwnie, podkreślał, że jest narodowym Żydem. Obecność mniejszości żydowskiej tym bardziej podkreślała nieobecność mniejszości terytorialnej ze wschodu Polski.

Muszę tu zaznaczyć, że jako członek tej Rady Narodowej dopominałem się stale o jej uzupełnienie przez przedstawiciela mniejszości terytorialnych.

Powołanie Rady Narodowej ułatwiało rządowi znalezienie jakiejś przyzwolitej pozycji dla przywódców stronnictw politycznych, którzy zaczęli do Paryża przyjeżdżać. Nie zapominajmy, że rząd generała Sikorskiego wówczas chciał reprezentować stronnictwa, ale był personalnie dobrany według tajemnego jakiegoś klucza.

Dopiero w Paryżu w „Café des deux Magots“ poznałem osobiście wiceprezesa stronnictwa ludowego, p. Mikołajczyka. Patrzył spode łba i był onieśmielony zagranicą. Czuli się przez skórę nieufność, kompleks niższości i złe serce, ale także wolę, egotyzm i decyzję powziętą wewnątrz siebie: „a jednak ja zajdę wysoko“. Z określeniem właściwych wymiarów p. Mikołajczyka dzieją się dziwne rzeczy. Z oddali może się wydawać nawet mężem stanu, z bliska robił wrażenie człowieka małostkowego i małego. Prawda zapewne jest pośrodku.

II

Rada Narodowa została powołana ostatecznie w styczniu 1940, prezesem nominalnym jej został p. Ignacy Paderewski, wiceprezesem urzędują-

cym p. Mikołajczyk, wiceprezesami p. Bielecki i Lieberman. Uzupełniania jej składu miały miejsce w marcu 1940 r.

W skład jej weszli:

Ze stronnictwa narodowego: Tadeusz Bielecki, Zofia Zaleska, później prof. Władysław Folkierski.

Ze stronnictwa ludowego: Stanisław Mikołajczyk, dr Jan Jaworski, później Władysław Banachyk.

Z PPS: Herman Lieberman, Tadeusz Tomaszewski, ponieważ jednak mec. Tomaszewski został mianowany prezesem Najwyższej Izby Kontroli, więc na jego miejsce mianowany został Adam Cielkosz. Później reprezentacja socjalistów uzupełniona została przez Alojzego Adamczyka. Socjalistą był także p. Józef Szczerbiński, przedstawiciel emigrantów polskich we Francji.

Ze stronnictwa pracy: Ignacy Paderewski, Michał Kwiatkowski i ks. Jan Brandys. W miejsce tego ostatniego, który ustąpił, weszła p. Elżbieta Korfantowa.

Poza tym członkami Rady Narodowej byli:

Arka Bożek, przedstawiciel Polaków, obywateli niemieckich. Tytus Filipowicz, przedstawiciel stronnictwa demokratycznego. Ks. biskup Gawlina, tytułem reprezentacji duchowieństwa katolickiego. Stanisław Józwiak, bezpartyjny narodowiec. Stanisław Mackiewicz, konserwatywa wileński. Dr Zygmunt Nowakowski, bezpartyjny demokrat. Józef Szymanowski, przedstawiciel emigrantów polskich we Francji. Dr Ignacy Szwarzbart, syjonista. Gen. Lucjan Żeligowski, bezpartyjny.

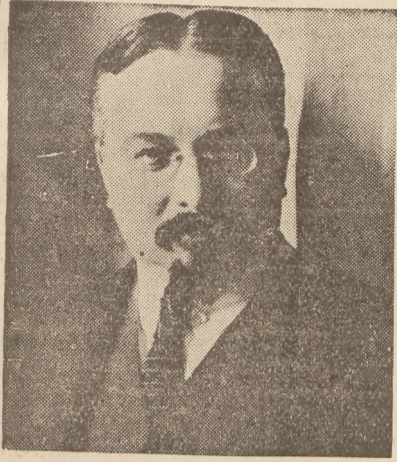
## OD HELSINGFORSU DO BORDEAUX

W czasie, gdy rząd polski zajmuje się białostkami, zachodzą w Europie wydarzenia, których znaczenia dla sprawy polskiej nie są w stanie ocenić ani Kot, zajmujący się swą grą personalną, ani Sikorski, interesujący się przede wszystkim autoreklamą, ani Stroński, bezkrytycznie, z wiarą i ufnością wyczekujący przediego zwycięstwa Francji nad Niemcami.

Na marzec 1940 r. wypada także podróż osobistego wysłannika Roosevelta, p. Sumner Wellesa, po stolicach państw europejskich. Pan Welles przyjechał do Rzymu, gdzie rozmawiał z hr. Ciano i z Mussolinim; potem do Berlina, na rozmowy z Ribbentropem, Hitlerem, Hessem i Goeringiem; potem przez Szwajcarię do Paryża, gdzie widział mnóstwo osób a między innymi p. Leona Bluma w jego mieszkaniu na czwartym piętrze w starej części Paryża, na ulicy bez sklepów i hałasów, w domu mieszczącym na dole małą restaurację dla smakoszy o nazwie „Le Bossu“ — „Garbusek“, w mieszkaniu z cudownym widokiem na Sekwanę, stare drzewa nad Sekwaną i stare mury paryskie. Pan Welles utrzymywał, że otrzymał później aż trzy tysiące listów z wymyślaniami, że odwiedził tego „nikczemnego Żyda“, ale muszę przyznać, że co najmniej owa cyfra 3 tys. wydaje mi się być wybitnie zaokrąglona. Z Paryża wyjechał p. Welles do Londynu, gdzie widział znowu mnóstwo osób z Królem Jęmością i ówczesnym premierem Chamberlainem na czele. Potem pojechał jeszcze raz do Włoch, znów na rozmowy z Ciano i Mussolinim. Zauważmy jak dużą rolę odegrały Włochy w polityce europejskiej, przed... wiosnami zwycięskimi ofensywami Hitlera.

Jeśli mamy wierzyć p. Wellesowi, hr. Ciano nastrojony był antynie. miecko i nikt we Włoszech nie chciał wojny po stronie Niemiec, poza Mussolinim, który siedzi na wojnę w przekonaniu zwycięstwa Hitlera. Ciano zakomunikował p. Wellesowi, a później Goering mu potwierdził warunki, na których wówczas Niemcy gotowe były zawrzeć pokój. Objeżdżając one punkty następujące: 1) Austria pozostaje na zawsze połączona z Niemcami; 2) Słowacja będzie państwem niepodległym; 3) Czechy i Morawy autonomiczne, pod protektorem Niemiec; 4) Polska całkowicie niepodległa (wyraz „całkowicie“ nie był użyty, przy określaniu niepodległości Słowacji) i z wolno-

\*) Por. „Sojusz z Anglią był sojuszem egzotycznym“ w nr. 93 i „Powstanie rządu na emigracji“ w nr. 94 „Odrodzenia“.



Stanisław Stroński

JULIAN PRZYBOS

# Przestrzeń piechura i przestrzeń płaka

Przyjemnie jest znaleźć w artykule polemicznym przeciwnika, i to wtedy kiedy się już zwątpiło, zdanie, z którym można się od razu zgodzić. T. Dobrowolski w „Kilku uwagach o „przestrzeni“ w obrazie“ (nr 37 „Odrodzenia“) pisze: „Pojęcie przestrzenności nie jest jednak jednoznaczne, gdyż przestrzeń bywała w różnych czasach i w różnych stylach pojmowana rozmaicie“. Oczywiście. I o tym właśnie pisałem w „Próbie oka“, wspominając o rewolucji impresjonistycznej, która zerwawszy z dawnym schematem perspektywy akademickiej wprowadziła nowy, malarski sposób wywoływania w oku widza iluzji przestrzeni w obrazie. Przestrzenność była wywoływana w różny sposób, ale nie ma jakiegóż jednego idealnego wzoru malarskiej ewokacji przestrzeni. Ostrożny krytyk, uznający zmianę smaku, a więc i kultury oka plastycznego, nie zaryzykuje twierdzenia, że ten lub ów sposób jest jedyny i doskonały. Niestety, Dobrowolski bystrej uwagi o różnych przestrzeniach malarskich nie poparł równie bystrym okiem, bo z artykułu jego zdaje się wynikać, że oko jego chwyciło tylko jeden typ przestrzeni malarskiej: ten, który wywoływali malarze za pomocą perspektywy liniowej, a który znalazł najbardziej znamienne zastosowanie w pejzazowym malarstwie holenderskim.

Przeczytałem uważnie ostatni artykuł Dobrowolskiego i, niestety, utwierdziłem się tylko w swoim rozczarowaniu i zwątpieniu o sprawności plastycznej oka krytyka. W artykule, który byłby zapewne pożyteczny, gdyby go rozwinął, na kursie w jakimś „Ognisku plastycznym“, wyliczywszy rzeczy powszechnie wiadome z historii sztuki — usiłuje na koniec dowiedzieć, że malarstwo Bonnard jest płaskie. Nie, takiego twierdzenia już nie ryzykuje, nie zestawia już Bonnard z Matissem, nie twierdzi już, jak poprzednio, że Bonnard maluje przedmioty, które tworzą — tak jak u Matisse'a — „dywanowe, nieprzestrzenne powierchnie“. Zestawia przestrzenność obrazów Bonnarda z przestrzennością Hobbemy i twierdzi, że w stosunku do tego Holendra — Bonnard jest raczej nieprzestrzenny. Dostrzega różne plany na obrazach Francuza i twierdzi, że są raczej płaskie. Nie ośmiela się już jednak twierdzić wprost, bez ogródek i bez tego słówka „raczej“, wstydliwie maskującego własny dawniejszy błąd, że malarstwo Bonnard jest płaskie, płaskie bez zastrzeżeń, płaskie jak malarstwo Matisse'a — a tak właśnie bez ogródek głosił w artykule „O hermetyzmie“. Nie — jest „raczej“ płaskie, jest „swoiście nieprzestrzenne“ i to w porównaniu z przestrzennym malarstwem np. holenderskim...

Przestrzenność w malarstwie może być różna, tj. złudzenie głębi w obrazie stworzyć można różnymi sposobami. **Myjne jednak jest przypuszczenie, że — na pewnym, obowiązującym artystę stopniu kultury malarskiej (a więc wyjąwszy rysunki dzieci i ludzi prymitywnych) — przestrzenność malarska należy oceniać porównując ją z „przestrzenią fizyczną“.** Chyba, że uznamy za normę przestrzenności w obrazie — perspektywę fotograficzną! Może istnieć i istnieje malarstwo płaskie, absolutnie płaskie, jak np. malarstwo Matisse'a, ale nie ma malarstwa absolutnie przestrzennego, z tej prostej racji, że absolutna złuda głębi: byłaby trywialnością fotoplastikonu, zaprzeczeniem prawdy powierzchni obrazu. Nawet „najbardziej“ przestrzenne malarstwo musi być także płaskie, artysta nie może dopuścić do tego, by obraz dziurawił perspektywą ścianę, lub by z niego wysterczały przedmioty poza powierzchnię obrazu. (Proszę popatrzeć na obrazy Matejki — jakże częste postaci wylaża z ram, a błyski broni igrają przed pierwszym planem obrazu.) Ośmielam się wątpić, czy, gdy idzie o iluzję przestrzeni, można ustalić hierarchię poszczególnych stylów w malarstwie. Przestrzenność w malarstwie jest sprawą konwencji optycznej, konwencje mogą być różne, i każda z nich

przyjmowana i kształcąca oczy wielu nieraz pokoleń — budzić może równie żywe i równie silnie ludzące wrażenie przestrzeni w obrazie.

Dobrowolski zdaje się nie dostrzegać przestrzeni w obrazach impresjonistów, nie docenia wielkości rewolucji dokonanej przez nich także w sposobie malarskiego wywoływania przestrzeni. Czyżby naprawdę oko jego było niewrażliwe na przestrzeń inną niż ta akademicka, zakrzepła w matematycznie wyliczonych rzutach przedmiotów na płaszczyznę? Iluzja przestrzeni w obrazach impresjonistów bynajmniej nie jest słabsza niż w malarstwie Holendrów, lecz inaczej wywołana i inaczej docierająca do naszego oka. **Wymaga więc innej, nowej wrażliwości, jak inną i nową jest konwencja przez nich stworzona.** Jakiej — o tym za chwilę, gdy wyjaśnię sprawę przestrzenności w malarstwie Bonnarda.

Dobrowolski zgodnie ze swoją postawą naiwnego realisty zestawia obraz Hobbemy o perspektywie tradycyjnej z obrazem Bonnarda, który wydaje mu się jeśli nie zupełnie płaskim, to „raczej płaskim“, a w każdym razie mniej przestrzennym niż obraz Holendra. Sądzę, że jest to próba chybiona i nierzetelna. Jedyne zestawienie obraz Bonnard z obrazem niewątpliwie płaskim, a więc z obrazem Matisse'a — postąpiłby zgodnie ze swoim poprzednim twierdzeniem o płaskości malarstwa tych obu malarzy. Gdyby tak właśnie postąpił, nawet laik o niewyrobinym oku dostrzegłby różnicę między płaskością Matisse'a a niepłaskością Bonnard, dostrzegłby ją łatwo — choć nie tak bardzo łatwo jak w obrazie Hobbemy — przestrzeń w „Pejzażu z papugą“.

Naiwny realizm w teorii sztuki jest poglądem przedplastycznym, podobnie jak naiwny realizm w teorii poznania jest myśleniem przedfilozoficznym. Oko naiwnego realisty szuka w obrazie dokładnego odwzorowania przedmiotów, nie chwyci form aluzyjnych i dalekich związków, jest plastycznie niewyrobinie, jest to oko leniwe. Takim leniwemu oku przestrzenność w obrazie Hobbemy łatwo się narzuci — dlaczego? Bo perspektywiczny skrót alei ze zmniejszającymi się drzewami zmusza oko, by prawie że poziomo wlokło się po obrazie od formy do formy, od drzewa do drzewa, w głąb. Pionowe, zmniejszające się formy drzew są dla oka w obrazie jakby przystankami w tej wędrówce, na każdym przystanku wzrok stwierdza i rejestruje przebytą drogę. Najmniej plastyczne oko, najbardziej leniwe wzrok musi zmierzyć przestrzeń w takiej powolnej włóczędze.

Jakże inaczej narzuca wizję przestrzeni obraz Bonnard. Dobrowolski opisując „Pejzaż z papugą“ trafnie stwierdza, w przeciwieństwie do tego, co mówił dawniej o „tapetowej płaskości“ Bonnard, obok planu pierwszego, budowanego pionowo, plan dalszy, i nie może nie wskazać malutkich koni na odległej łące. Ale nie dostrzega przejścia między tymi planami, nie widzi „normalnej“ przestrzeni. (Jakby w malarstwie istniała jakaś norma — fotograficzna? — przedstawiania przestrzeni!) Oko jego nie chwyci związku między planem pierwszym a owym odległym. Dlaczego? Bo jest to oko nawiąknęte do dawnej konwencji, do perspektywy liniowej, przyzwyczajone do powolnego spaceru od przedmiotu do przedmiotu, od formy większej do zmniejszanej. A jakże inaczej, jak zawrotnie szybko trzeba chwycić przestrzenność Bonnard! Oko nie ma za pierwszym planem oparcia na kolejno poziomo rozwijających się formach. Od razu z pierwszego planu nie pełza, ale leci w plan dalekiej głębi. **Błyskawicznie spada w samo dno oddali, w przestrzeń, którą można by nazwać przestrzenią natychmiastową.** Jeśli w „Alej“ Hobbemy wzrok jest piechurkiem, to w „Pejzażu z papugą“ — ptakiem. Te okna w zieleni planu pierwszego otwierają dalekość tak nagle, że dla wrażliwego oka iluzja przestrzeni bonnardowskiej może być silniejsza niż perspektywa alei Hobbemy. Ten sposób wywoły-

wania przestrzeni jest znamieny dla Bonnard — z jaką predylekcją do otwartych okien maluje swoje wnętrza. Swoją wizję przestrzeni narzuca inaczej, nowatorsko — unikając tradycyjnego schematu. Przestrzeń Bonnard jest przestrzenią człowieka wieku szybkości, wieku kina (zbliżenia, zmiany planów i perspektyw), wieku samolotu i rakiety.

Dobrowolski zdaje się to nowatorstwo rozumieć, opisuje trafnie akt Bonnard, który oglądał na wystawie przedwojennej w Warszawie, jeden z ciekawszych sposobów ujawnienia przestrzeni bez skrótów perspektywicznych. Niestety, oko jego tej nowej przestrzenności nie odbiera i nie przyswaja, a uznaje i widzi tylko przestrzeń tradycyjną, budowaną według praw znanych od czasów Albertiniego. A przecież istnieją inne jeszcze systemy budowania przestrzeni w obrazie. Kubiści stosowali tzw. **perspektywę dookólną.** Niektóre obrazy z wcześniejszego — niepłaskiego — okresu kubizmu — niepłaskiego — okresu kubizmu — rbiły na mnie wrażenie narzędzi do wirowania wzbudzania przestrzeni, powiększającej się ustawicznie wokół form przedstawionego przedmiotu. Iluzja przestrzeni jakże inna i niepodobna ani do wrażenia wglębiania się w pejzaż w obrazie Hobbemy, ani do natychmiastowego lotu w dal w pejzażach Bonnard. Malarstwo japońskie tylko pozornie jest płaskie (uzyskanie doskonałej płaskości — jak u Matisse'a — jest może rzeczą trudniejszą niż wynalezienie nowego systemu przestrzenności w obrazie). Japończycy stosują — o ile mogą sądzić na podstawie niektórych obrazów, które widziałem — coś jakby **perspektywę odwróconą.** Ogromny Fudzijama góruje na najdalszym planie nad planem pierwszym. Gdybym był historykiem sztuki, znalazłbym zapewne niejedną jeszcze przykład innej konwencji przestrzennej w malarstwie niż ta, geometryczno-perspektywiczna, dostępna oku naiwnemu.

Jacek Woźniakowski w artykule „Sprawa malarstwa“ („Tygodnik Powszechny“, nr 37) referuje dotychczasowy przebieg dyskusji, nie uwzględniając jeszcze ważnego głosu Ważyka. Jego własne stanowisko nie wydaje mi się dość jasne. Nie wiadomo, czy opowiada się za metafizycznym pojmowaniem piękna, jako wartości pozaczasowej i niewymiernej w dziele sztuki, czy też, jak ja, godzi się, że wartości artystyczne są sprawdzalne. Nie wiem, czy przypisuje mi mylnie, jakoby kierował się subiektywnym widzi mi się w patrzeniu na obraz nie uwzględniając zmienności kategorii piękna w czasie, czy też słusznie przypisuje mi coś wręcz przeciwnego.

„Próba oka“ nie jest jakimś ponadczasowym kryterium, ale nie jest też rzeczą — subiektywnego widzi mi się. Cóż to jest malarstwo? Sztuka oka i sztuka dla oka. Można się sprzeczać o sprawy teoretyczne, ogólne, ale w sprawach tak elementarnych, czy czyjeś malarstwo jest płaskie czy przestrzenne — rozstrzygnie spór każde oko wrażliwe na plastykę.

Woźniakowski nie robi jednak tej próby. Jak średniowieczny przyrodnik chcąc opisać kwiat jabłoni nie wychodził z celi do ogrodu, aby policzyć płatki kwiatu, lecz mozolnie spierał za tą wiadomością w starych księgach — tak Woźniakowski nie poddaje przestrzeni Bonnard próbie własnego oka, lecz przytacza sprzeczne opinie Dobrowolskiego, moją i — wątpliwą — Pankiewicza. Zachęcam go do tej próby. Niech przyjrzy się choćby reprodukcji „Pejzażu z papugą“. Radzę mu wpuścić wzrok „oknem“ u dołu lewej strony obrazu, aby błyskawicznie ześliznąwszy się po skrócie biegnącej w głąb balustrady, spaść w dal tym głębszą, że przesłoniętą — nieco wyżej — pierwszym planem. I niechże stwierdzi własnym okiem: przestrzenne, czy nieprzestrzenne?

## PRELIMINARZ BUDŻETOWY

Preliminowany budżet na okres 9 miesięcy, od kwietnia do grudnia 1946 roku, zamyka się po stronie wydatków w 40 miliardach złotych, po stronie dochodów w 35,5 miliardach złotych (podajemy liczby zaokrąglone).

W wydatkach pierwsze miejsce zajmuje obrona narodowa (5 miliardów 900 milionów), tuż po niej oświata (5,1), potem bezpieczeństwo, aprowizacja i handel, komunikacja, Ziemia Odzyskana. Budżet każdego z wymienionych resortów wynosi po stronie wydatków ponad 2 miliardy złotych. Powyżej jednego miliarda a poniżej dwu — wynoszą wydatki preliminowane na rolnictwo i reformę, administrację publiczną, prezydium Rady Ministrów, zdrowie, pracę i opiekę społeczną i skarbu.

Wśród przedsiębiorstw i zakładów przemysłowych najwyższą pozycję wydatków przewidziano na koleje (2 miliardy 300 milionów). Na łączność (poczta, telegraf, telefon) przeznaczono ok. 325 milionów złotych.

Dochody ministerstwa skarbu określono na 15¼ miliardów, przemysłu na 3, Prezydium Rady Ministrów na 1,5. Monopole przyniesie mają w ciągu trzech kwartałów 14 miliardów 360 milionów, w tym spirytusowy 9 miliardów, tytoniowy 4,5, zapalczyzny 0,5.

Wydatki na inwestycje w ciągu trzech kwartałów bieżącego roku, finansowane głównie z kredytów i dotacji skarbowych oraz kredytów bankowych, wynoszą 40,5 miliardów. Największe inwestycje przeznaczono na komunikację (12,5 miliardów), przemysł (10), odbudowę (5,7), rolnictwo i reformę rolną (4). Jest to znamienne dla naszej polityki inwestycyjnej, mającej na uwadze przede wszystkim sprawy komunikacji. Tu wypadnie zaliczyć osobno wydatki na linie lotnicze w preliminarzu budżetowym (114 milionów złotych) i komunikację samochodową (ok. 70 milionów). Ponad miliard złotych wyniosą inwestycje w resorcie żegluga i handlu i tyleż w resorcie poczty i telegrafów.

Na wpływy składają się daniny publiczne i monopole, mniej więcej po połowie. Daniny sprowadzają się głównie do podatków bezpośrednich (13,2). Po datkach obrotowy ma przednieść 8 miliardów, dochodowy 3,5. Podatki pośrednie ogółem 1,7 miliarda, w czym najwięcej przyniesie podatek od cukru, drożdży i wina.

W pierwszym kwartale 1946 roku wpływy z podatków państwowych wyniosły osobno z górą 8 miliardów złotych.

Liczba etatów w administracji publicznej i oświacie wynosi 252 tysiące (bez armii). Gros etatów przypada na grupy uposażeń od VII do X.

(Źródło: Wiadomości Statystyczne Głównego Urzędu Statystycznego, Warszawa 1946, zeszyt 7).

## OŚWIATA

Liczba szkół powszechnych wynosiła w ubiegłym roku szkolnym 18 247, z czego na Ziemiach Odzyskanych 2 910. Na wieś przypadało 16 164 szkół, na miasta 2 083. Szkołnictwo powszechne jest prawie wyłącznie publiczne (prywatnych szkół liczone tylko 51 z 12 000 uczniów).

Liczba uczniów w szkołach powszechnych dochodziła do 3 milionów. Do szkół na wsi uczęszczało 2 138 tysięcy uczniów, w miastach 839 tysięcy. W szkołach na Ziemiach Odzyskanych było 316 tysięcy uczniów, w tym na wsi 192 000, w miastach 124 000.

Budżet państwowy na rok bieżący przewiduje równo 100 000 etatów nauczycielskich.

## KULTURA

W maju 1945 r. było w Polsce 59 zawodowych teatrów. Najwięcej teatrów przypadało na zburzoną Warszawę i Kraków (po 9), nie miały teatru Kielce (!) i Pomorze Zachodnie. Dramatycznych teatrów mieliśmy 35, rewijowych 4 (Łódź i Warszawa), operowych 3, teatrów dla młodzieży 17, w tym 3 teatry lalki.

Kinoteatrow było w marcu 1945 — 150, w czerwcu 258, we wrześniu 339, w grudniu 404, najwięcej w Katowicach, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu i Bydgoszczy. Katowice miały 38 tysięcy miejsc, Kraków z górą 20 tysięcy, Białystok zaledwie 1 000 miejsc.

Nadto czynnych było 30 kin. Bjazdówkich i przenośnych. Uprawiane też akcje filmów oświatowych, stosowanych jako pomoc szkolna o zapotrzebowaniu w filmy oświatowe świetlic statystyka nie wspomina. W filmach oświatowych najobficiej reprezentowana jest geografia, biologia i przemysł.

(Źródło: Wiadomości Statystyczne Głównego Urzędu Statystycznego, Warszawa 1946, zeszyt 8, js

dostępem do morza, ale okrojona na zachodzie z ziem „niemieckich“, bliżej nieokreślonych, widać pozostałono to dla targu, oraz z prowincji wschodnich, które odeszłyby do Rosji; 5) Zwrot Niemcom kolonii zamorskich, utraconych przez nie w 1919 r.

Ciano wspominał zresztą w czasie drugiej bytności Wellesa w Rzymie o możliwości zmiany stosunku Hitlera do Sowietów, co by wskazywało, że oddanie polskich ziem wschodnich Rosji było warunkiem raczej prowizorycznym.

W czasie pobytu p. Sumnera Wellesa w Paryżu wyświetlano w kinach paryskich, na skutek zabiegów najszybszej propagandy, spotkanie jego z generałem Sikorskim. Mam jeszcze w oczach kanapę w stylu Ludwika XVI, na której siedzi p. Sumner Welles; generał Władysław Sikorski wchodzi z teką; p. Sumner Welles wstaje, obaj mężowie stanu podają sobie ręce, potem siadają; generał Władysław Sikorski otwiera tekę, widać przystępując do pobierania wspólnych z p. Wellesem postanowień. W naszym ministerstwie „informacji i dokumentacji“ na gwiazd wykańczano dla p. Sumnera Wellesa materiały, memoriały, fotografie i obrazki...

Otóż p. Sumner Welles w swojej książce „Czas postanowień“ („The Time for Decision“) wspomina z okazji swej europejskiej podróży setki nazwisk osób nawet drugorzędnych, o ile brały udział w rozmowach poważnych, natomiast o polskich ministrach w Paryżu nie wspomina ani słówkiem, nawet nazwisko Sikorski nie jest w tej książce wymienione — nie ma go też w indeksie nazwisk, zawierającym przeszło tysiąc pozycji, chociaż nazwisko Beck jest tam wspomniane trzy razy, a nazwisko Piłsudski dwa razy. Piszę to nie dlatego, by dokuczyć nieboszczykowi, dla którego istotnie było to cios ponad ciosy, lecz ze względów o wiele poważniejszych. Piłsudski i Beck to przeszłość, a jednak Sumner Welles o nich pisze, a o odwieczającym go Sikorskim zapomina wspomnieć. Dlaczego? — Bo państwo się liczy, gdy ma terytorium i armię; gdybyśmy podczas tej wojny zachowali jakąś niezależność, jakąś neutralność, jakiś skrawek terytorium — byłibyśmy coś warci; rząd na emigracji ze wszystkimi swymi memoriałami jest już quantité négligeable, co najwyżej kinematograf może go sfilmować, za podwójną opłatą. Melancholijnym smutkiem napelnia mnie myśl o tych kipach papieru starannie p. Sumner Wellesowi dostarczonych. Wątpię, aby je przeglądał, nawet w czasie najnudniejszych godzin swej powrotnej podróży okrętami po Atlantyku; sądzę raczej, że je pozostawił „na przechowanie“ u portiera w Paryżu.

Mały ten epizod, powyżej opisany, bardzo jest pouczający, jak również to, że Ciano, najwidoczniej w porozumieniu z Niemcami, mówił z Sumnerem Wellesem o przyszłości Polski: Goering mówił o przyszłości Polski, a natomiast p. Welles w swej książce nie wspomina, aby ten temat był poruszony w rozmowie z Anglikami lub Francuzami. Znowuż moral oczywisty: Polska dla Niemiec, dla Rosji będzie zawsze i stale jakimś problemem, natomiast w Ameryce, w Anglii, a nawet we Francji, Polska budzić może najwyższe zainteresowania przejściowo, doraźnie. Realna polityka polska to działanie w stosunku do Moskwy lub do Berlina, ale nie w stosunku do San Francisco czy jakiegóż miasta na księżycu.

TADEUSZ DOBROWOLSKI

# Dogmaty i tabu

Artykuł mój „O hermetyzmie i społecznej izolacji dzisiejszego malarstwa” („Odrodzenie”, nr 80) wywołał oddźwięk nadspodziewanie silny i zapoczątkował ożywioną, wcale wszechstronną dyskusję. Wolno zatem przypuścić, że był „na czasie”, że ułatwił wypowiedzi ludziom, którzy o sprawie dzisiejszego malarstwa myśleli, chociaż z różnych powodów wzdragali się przed zabieraniem w niej głosu, przynajmniej w druku.

Nie sądzę natomiast, żeby wybrany przez Z. Pronaszki tytuł jego artykułu „Primum non nocere” („Przeгляд Artystyczny”, nr 7) był użyty właściwie. Podług mojego mniemania, szkodliwsze od krytycznego stosunku do sztuki jest robienie z niej „tabu”, do którego wolno się zbliżyć wyłącznie „powołanym” (przez kogo?). Doświadczanie bowiem uczy, że nowe wartości w dziedzinie kultury powstają zazwyczaj w aurze fermentu i walki, na drodze przewycięzania wartości zastanych, a szukania nowych w harmonii z idącymi czasami. Nie ulega też wątpliwości, że nie może być mowy o postępie czy zmianie w atmosferze, owianej sielankowym zapachem wędzących laurów oraz w temperaturze duchowej, równej temperaturze letniej wody.

Dlatego chyba dobrze się stało, że rozpoczęła się dyskusja nad wspólnym malarstwem. Jeśli chodzi o moje w niej miejsce, obawiam się, że nie zawsze będę mógł nadążyć za wszystkimi głosami; jest ich bowiem zbyt dużo w stosunku do czasu, jakim rozporządzam. Na artykuły polemiczne mogę przy tym odpowiadać wówczas, kiedy zajmują się rzeczową stroną zagadnienia z wykluczeniem osobistych momentów. W tej chwili wypada mi się zająć wypowiedziami Stanisława Teisseyre'a oraz Zbigniewa Pronaszki („Przeгляд Artystyczny”, nr 7). Z punktu widzenia dobrych obyczajów polemicznych, jak również pod względem rzeczowym artykuł Teisseyre'a wydaje mi się poprawniejszy od artykułu Z. Pronaszki. Zwróciła także moją uwagę obszerna wypowiedź A. Ważyka („Spór o malarstwo”, „Kuznica”, nr 34), który w części solidaryzuje się z mną, w części zaś stawia mi nie zawsze, jak mi nie mam, uzasadnione zarzuty.

W związku odpowiedzi na artykuł J. Przybosa „Próba oka”, zamieszczonej w numerze 86 „Odrodzenia” zapowiedziałem nowe uwagi o malarstwie. Zapoczątkowałem je artykułem na temat raczej wąski, bo traktujący tylko o przestrzeni obrazowej („Odrodzenie”, nr 94). Obecnie, zgodnie z zapowiedzią, wypadnie mi rozszerzyć krąg zagadnień. Uwagi te trzeba też będzie połączyć z repliką na wspomniane artykuły St. Teisseyre'a, Z. Pronaszki i A. Ważyka. Okoliczność ta jest do pewnego stopnia ułatwieniem, ale równocześnie utrudnieniem zadania; ułatwieniem o tyle, że wymierzone przeciw mnie zarzuty warunkują tok odpowiedzi i wybór problemów, — utrudnieniem, bo mogą ograniczyć mój artykuł do spraw nie zawsze najważniejszych.

Rozpocznę od odpowiedzi na artykuł St. Teisseyre'a, wołający o właściwą diagnozę współczesnego i dawnego malarstwa. Autor zarzuca mi niesłuszność stwierdzenia, że „malarstwo było dawniej przeżywane, pojmowane (i rozumiane) przez szerokie masy” oraz, że „było to następstwem jego zgodności z naturą ludzką”. Zaznaczam, że użyte przeze mnie zdanie brzmiało następująco: „malarstwo było przeżywane i pojmowane przez masy dla swojej zgodności z naturą ludzką”. Sprostowanie to pozornie niepotrzebne, bo tycające się tylko ściślej łączności wyrazów, zmienia jednakże postać rzeczy. Przedtem bowiem wyjaśniłem jeszcze, że „człowiekowi (inaczej naturze ludzkiej) wrodzony jest popęd do wyrażania swych myśli, uczuć, przeżyć i doświadczeń przy pomocy pędzla, dłuta lub pióra w zależności od rodzaju uzdolnień”. Nie należy zatem wzmawiać we mnie naiwną wiarę w szczególne znanstwo artystyczne np. średniowiecznych ludzi, ponieważ z przytoczonych powyżej słów wynika logicznie, że podług mnie sztuka posiadała zwolenników także, a może głównie dzięki temu, iż była wyrazicielką ich myśli, ich

uczuć, przeżyć i wyobrażeń, ponieważ przedstawiała np. niebo lub piekło, nadawała wzrokową postać przeżyciom religijnym i obyczajowym, intymnym wzruszeniom oraz różnorodnym doświadczeniom zarówno życia zbiorowego jak osobistego. Sztuka więc musiała być „au plus près du vif que faire se pourra”, a więc bliska życiu, jak informuje o tym np. zacytowany fragment kontraktu z r. około 1500, zawartego z Konradem Meitem na wykonanie grobowców w Brou. Sztuka różnie służyła życiu. Wyjaśnimy to na kilku przykładach, zaczerpniętych z różnych okresów czasowych. Malarstwo jaskiniowe było potrzebne łowcom dyluwalnym nie tyle dla swoich uroków formalnych, ile dla domniemanych własności magicznych, uwarunkowanych podobieństwem przedstawionego zwierzęcia do żywego, istnieniem jak gdyby jego „sobowtóra”. „Sąd Ostateczny” Michała Anioła nie wszystkim zapewne tłumaczył się jako celowy estetycznie zestrój zwarłych i monumentalnych kształtów, nie zawsze budził artystowskie refleksje na temat swego spopielałego kolorytu, ale na pewno wielu dostrzegło w tym fresku tytaniczną wizję strącenia do piekieł. I to może było najważniejsze. Chłopi z Ornans chcieli zakupić dzieło Courbete „Pogrzeb w Ornans” do swego parafialnego kościoła na pewno nie dla jego kompozycyjnych rytmów. Miałem więc na myśli, że owo przeżywanie czy pojmowanie malarstwa nie ograniczało się do jego strony formalnej, ba, mogło nawet jak gdyby tę stronę formalną wymijać. Formuluję może „truizmy”, ale są one konieczne wobec upartych prób wypaczenia myśli zawartych w moim artykule.

Zapewne moi przeciwnicy stwierdzą, że to wszystko nieważne, że skoro ówczesni ludzie, a także ludzie dzisiejsi w swej przeważającej masie aprobują dzieła malarskie nie dla ich czysto estetycznych wartości, to w takim razie ich percepcja jest niewłaściwa. Zgadzam się z tym, dodając, że percepcja ta jest zaledwie cząstkowa. Ale zagadnienie tzw. pozaestetycznego przeżycia bynajmniej nie przedstawia się prosto. Nie wolno bowiem zapominać o tym, że jednak dzieło przejawia się zawsze w konkretnej formie, wobec czego forma musi grać i w takich przeżyciach swoją rolę, inna sprawa, że trudną do sprecyzowania, a przez perceptorów nie zawsze odpowiednio zauważoną. — Właśnie w dziele „realistycznym”, które liczy się ze światem i życiem, forma może być przeżywana (choćby podświadomie) w sposób szczególnie intensywny, bo sprzymierzona z przedmiotami i zharmonizowana z atmosferą epoki zyskuje na wyrazistości i dyscyplinie. Także rola towarzyszących formie jakości abstrakcyjnych tłumaczy się wówczas jasniej. Porządkują one bowiem znane nam treści przedmiotowe i wiążą ze sobą konkrety, bogatsze i wymowniejsze od bezprzedmiotowych krech, plam i krzywizn; dzięki temu nie są zawieszane w próżni, jak w przypadku skrajnych twórców „abstrakcyjnych”. Nie rozwijając tej dygresji, a wracając do kwestii percypowania sztuki, musimy przyjąć, że pojmowanie lub odczuwanie malarstwa bywa rozmaite w zależności od typu i indywidualności odbiorców. Inaczej pojmując sztukę twórca, inaczej uczulony plastycznie teoretyk, inaczej przeciętny inteligent, inaczej chłop lud robotnik; inaczej wreszcie percypują sztukę poszczególni osobnicy przynależni do różnych grup społecznych. W artykule swoim próbowałem wykazać, że na ogół dawna sztuka umożliwiała różne przeżycia różnym ludziom, podczas gdy sztuka dzisiejsza, a przynajmniej pewien jej odtwórca, bywa w ogóle niedostępna większości z braku wyraźniejszych wartości heterogenicznych, ogólnoludzkich, sięgających w dziedzinie także „pozamalarską”.

Jest rzeczą oczywistą, że w dawnych, tzw. dobrych czasach (w swoim artykule wyrażam „dobrych” ujęciem w cudzysłowie), sytuacja sztuki nie przedstawiała się idealnie, ale była na pewno lepsza niż dzisiaj. Swoje mniemanie w tej materii opierałem na faktach, potwierdzonych przez źródła historyczne; nie wyl-

czałem ich, bo sądziłem, że są ogólnie znane. Obecnie przytoczę tylko garść takich faktów, żeby nie przedłużać tekstu i tak zbyt długiego. Społeczne znaczenie sztuki w starożytnej Grecji wyjaśniła nauka w sposób dostateczny. Doniosłą rolę grała sztuka w średniowieczu i renesansie. Katedry gotyckie powstawały wspólnym wysiłkiem miejskich społeczności; działające przy nich wędrownie „strzechy” kamienarskie wykonywały wielkie zadania artystyczne na zasadzie zharmonizowanej współpracy i tworzyły w służbie zbiorowości. Nawet niewielkie miasta wznosiły przez stulecia ogromne tury, których budowa wymagała gigantycznego wysiłku. Mógłby ktoś sprostować w tym miejscu, że chodziło nie tyle o twórczość artystyczną, ile o pewnego rodzaju akty religijne. Ale owe modlitwy realizowały się przecież w ciosowych murach, przysłoniętych lasem posągów i gęstwą roślinną, opracowaną z niezwykłą czułością i pokornym podziwem dla każdej rośliny i kwiatu, dla najmizernejszego stworzenia. W epoce nieco późniejszej, artysta, włączony w system organizacji cechowej, musiał współżyć z mieszczańskim światem swego miasta, przy czym jego sztuka była równie bliska mieszkańcom grodu, jak on sam. Cechy, korporacje i bractwa zamawiały u niego tryptykowe ołtarze, określając ich temat, zalecając niekiedy godne naśladowania wzory i żądając solidnej roboty. Zapewne, wola odbiorców zacieśniała stosunki między artystyczną pracownią a miejscowym społeczeństwem. We Florencji cech rzeźniczy zamawiał dla „Or San Michele” najpiękniejsze posągi w współczesnych rzeźbiarzy. Ozdobiły te budowle dzieła Ghibertiego, Donatella i Verrocchia. W konkursie na drzwi baptysterium florenckiego (r. 1402) odniósł zwycięstwo Ghiberti, bo mieszczańscy członkowie „jury” orzekli, że jego płaskorzeźba jest „piękniejsza” od projektu Brunelleschego, co potwierdził sąd przyszłych pokoleń. Wielcy artyści odnosili prawdziwe tryumfy już u swoich współczesnych. Michał Anioł budził u współobywateli szacunek pomieszany z lekliwym podziwem dla jego demonicznej mocy. Tytjan przyjaźnił się z królami, a jego podróż do Rzymu miała charakter wjazdu tryumfalnego. Sztuka poprzez liczne kościoły, wypełnione arcydziełami mistrzów gotyku i renesansu, później baroku, była dostępną wszystkim mieszkańcom miasta. Docierała też i na wieś, bo przecież każda wieś należała do jakiejś parafii i posiadała w niej swój kościół, również zdobiony rzeźbą i freskami. Pamiętano o potrzebach upośledzonych materialnie, bo rozważano na murach sceny ze Starego i Nowego Testamentu, zwane „Biblią ubogich”. Dzieła te były przeznaczone dla tych, którzy nie mogli nabywać na własność przenośnych ołtarzy domowych, lub iluminowanych kodeksów.

Nie chodzi mi bynajmniej o idealizację średniowiecza ani czasów późniejszych, bo każda epoka ma swoje światła i cienie. Szukam przykładów w średniowieczu, bo jako mediewista znam tę epokę lepiej niż inne. Oprócz mieszczaństwa popierały sztukę ośrodki władcze, panujący i kościół, magnaci, później artystokracja, potem plutokracja, z tym, że udział owych grup społecznych i instytucji w mecenasie artystycznym ulegał różnym fluktuacjom. W każdym razie zawsze istniała jakaś poważna grupa społeczna, lub jakaś potężna organizacja, która popierała sztukę. Popierała ją zaś nie tylko (albo nie tyle) dla jej specjalnych i autonomicznych własności, ile dla jej związku z aktualnym życiem. Dlatego, że była temu życiu na różne sposoby potrzebna.

Niemniej w atmosferze zainteresowania się sztuką, obojętne z jakich pobudek, — musiał się także rozszerzać krąg wielbiących ją ludzi za jej szczególne, jej tylko właściwe cechy, które określa się potocznie wyrazem „piękno”. Było to słuszną nagrodą tej sztuki, która nie odrywała się od trosk, wierzchni i zamięłowań współczesnego sobie człowieka, która na określenie wielorakich przedstawień używała znaków jasnych i zrozumiałych dla każdego.

Mam tu na myśli zjawiska tak proste i banalne, jak to, że jeśli ktoś malował człowieka, to starał się go ukształtować na podobieństwo ludzkie, darzył go ramionami, które kończyły się dłońmi, nogami, które kończyły się stopami, twarzą, na której malowały się ludzkie uczucia. Nie postępował zaś w ten sposób, jak wielu współczesnych malarzy, kończących ramiona bezkształtną plamą, która jest kolorem, ale nie jest dłońią, traktujących twarz ludzką jako wyłączny system krech i plam barwnych lub demonstrację swoistej geometrii. Jestem przekonany, że w tej geometrii niefachowcy nigdy nie potrafili zasmakować.

Można by mi w tym miejscu zarzucić, że w okresach archaicznych geometryzm i prymitywizm były powszechną cechą sztuk pięknych i że nie utrudniały jej percepcji. Oczywiście tak; tylko cechy te były wówczas, podobnie jak w sztuce dziecka lub w sztuce ludu, normalnym wynikiem swoistej wyobraźni, a także ograniczonej znajomości środków wyrazu, były zdeterminowane stopniem cywilizacji. Natomiast zawsze mi się wydaje nieporozumieniem, perwersją lub wynikiem fałszywego snobizmu, jeśli dorosły mężczyzna lub starsza pani imitują dziecko, także w sztuce, a dojrzały cywilizacyjnie naród naśladować twory archaiczne lub produkowane przez Murzynów. Totem, kiedy St. Teisseyre stwierdza, że prymitywowy chłopie przypominają „ezoteryczną” i „hermetyczną” twórczość Matisse'a, to, moim zdaniem, nie pochlebia temu artyście.

Dla udowodnienia, że i w dawniejszych czasach sztuka nie zawsze była doceniana, cytuję St. Teisseyre przykład Rembrandta, moim zdaniem nietrafny. Zamówionej u artysty „Straży nocnej” nie przyjęto bowiem nie z powodu jej trudnej nawożności, lecz z tej przyczyny, iż obraz ten nie odpowiadał zamówieniu. Zamiat portretu członków straży, wymalował Rembrandt znaną kompozycję, w której znaczna część sportretowanych (a raczej mających być sportretowanymi) znalazła się w kompletnym mroku. Ciekawym, kto byłby zadowolony z „portretu”, na którym nie byłoby go widać, choćby „portret” był znakomitą dziełem sztuki. Poza tym na bankructwo Rembrandta złożyły się tak ważne momenty, jak śmierć jego żony Saskii i życie nad stan. Warto też przypomnieć, że przed tragedią, jaka dotknęła artystę, obrazy jego osiągały w Holandii najwyższe wówczas ceny, że na poczet „Straży nocnej” wypłacono mu zaliczkę w wysokości odpowiadającej kilkuset tysiącom naszych przedwojennych złotych. Natomiast mogę polecić St. Teisseyre'owi interesującą pracę M. Walickiego „Z dziejów pewnej legendy” („Nike”, II, 1939), w której odnajdzie sporą ilość bardziej przekonujących przykładów, dowodzących nie zawsze świetnej sytuacji dawnych artystów i ich sztuki. Niemniej owe przykłady nie mogą wpłynąć na zmianę moich poglądów, boć jasną jest rzeczą, że rzeczywistość nie układa się podług idealistycznych schematów, następnie, nie jest moim zadaniem udowodnienie, iż życie artystów było wysłane różniami, lecz że ich sztuka przenikała się ściśle z różnymi dziedzinami społecznego organizmu, że była uznawana i potrzebna, pomimo sporadycznych aktów opozycji, w przeciwieństwie do znacznego odłamu sztuki XX wieku. Zresztą i St. Teisseyre przyznaje, że „izolacja społeczna malarstwa... rzeczywiście istnieje”.

Zarzuca mi St. Teisseyre dualizm metodologiczny. Podług niego postuluje się zrazu w swym artykule metodą opartą na dialektyce materialistycznej, po czym zaczynam przeczyć samemu sobie, sięgając po argumenty w dziedzinie filozofii idealistycznej i zakładając niezmiennność natury ludzkiej. A więc raz materializm, drugi raz psychologizm? Przyznać się muszę, że nie rozumiem zarzutu St. Teisseyre'a. Tzw. przezeń metoda dialektyczna jest w moim przypadku po prostu metodą historyczną, bo opiera się na faktach stwierdzonych źródłowo. Nie można zaś zabronić nikomu badania pewnych zjawisk równocześnie z punktu widzenia np. historycznego, gospo-

darczego, socjologicznego, psychologicznego itd. Czym wszechstronnie pewną sprawę się bada, tym dla niej lepiej. Ważniejsze od sztywnej postawy metodologicznej jest należyte korzystanie ze zdrowego rozsądku. Naprzód można się pytać w odniesieniu np. do „Wieczery” Leonarda: jakie fakty historyczne zdeterminowały wygląd tego malowidła, — następnie, w jakiej mierze to malowidło jest uwarunkowane osobowością twórcy? Takie stawianie pytań ułatwi tylko dokładniejsze poznanie dzieła. Stanowisko mego antagonisty wydaje mi się zbyt ciasne i doktrynarskie.

Wmawia też we mnie St. Teisseyre, że uważam naturę ludzką za niezmienną, chociaż nigdzie tego nie napisałem. Z moich uwag o „naturze ludzkiej” można było natomiast wywnioskować, że pewne jej cechy uważam za dość trwałe. Jako taką cechę wymieniłem „popęd do wyrażania myśli, uczuć itd. przy pomocy pędzla, dłuta lub pióra”. Cofnąć tego żadną miarą nie mogę, bo istotnie, kiedy badam sztukę najdawniejszą i część sztuki współczesnej, a zwłaszcza dyspozycje i postulaty większości ludzi dzisiejszych, to dochodzę do wniosku, że wspomniany popęd istotnie nie uległ zmianie. Pozwolę sobie jeszcze zwrócić uwagę mego oponenta na to, że gdyby, jak zdaje się on mniemać, natura ludzka była zmienna pod każdym względem, to człowiek przestałby być człowiekiem, czyli przedstawicielem swojego gatunku. I wówczas nie moglibyśmy się spierać, przynajmniej na płaszczyźnie ludzkiej. Zdaje mi się, że to raczej St. Teisseyre walczy z samym sobą, gdyż z jednej strony podkreśla zmienność natury ludzkiej, z drugiej zaś bierze mi za złe przewidywanie i postulowanie zmian w dziedzinie sztuki. Otóż mnie się wydaje, że istotnie natura ludzka jest na tyle zmienna, żeby domagać się zmian w obrębie niezmiernie co prawda rozległych, lecz w pewnym sensie trwałych granic sztuki, określonych konsekwencjami aktu przedstawiania. Stąd moja pewność, że wbrew różnym oporom, wbrew dogmatycznej postawie wielu dzisiejszych malarzy, traktujących swą sztukę jak nienaruszalne tabu, oblicze sztuki ulegnie zmianie, bo wynika to z konieczności historycznej.

Raczej pominię zarzut „niesprawdzałości” w odniesieniu do moich uwag na temat stosunków artystycznych w dawnych czasach, ponieważ jego podstawą było zapewne fałszywe rozumienie moich słów o pojmowaniu dawnej sztuki przez współczesnych jej odbiorców, co już wyjaśniłem. Zauważyć jeszcze w tym miejscu wypadnie, że skoro istnieją źródła, nauka dopuszcza możliwość ich wyzyskania i interpretacji, dopuszcza również uzasadnioną hipotezę. Nie podnoszę też poruszanej przez St. Teisseyre'a kwestii oleodruków, bo sprawa ta niezbyt mnie interesuje. Sądzę jednak, że ludzie zadowolają się złą sztuką wówczas, kiedy nie ma dobrej sztuki współczesnej w rodzaju przez nich pożądanym. Dzieje się tak wówczas, kiedy sztuka rezygnuje z funkcji społecznej i istnieje dla siebie. Ze należy umożliwić ludziom kontakt ze sztuką, jest rzeczą oczywistą, ponieważ tylko w ten sposób można ich do niej przywiązać. Nie przypuszczam jednak, żeby się dało wyhodować poważną społecznie grupę perceptorów malarstwa abstrakcyjnego.

Co do uwag Z. Pronaszki, to niestety, na żadną z nich nie mogę się zgodzić. Z. Pronaszko ustala dogmat, że „każda wielka sztuka jest abstrakcyjna”. Gdybyśmy uwierzyli Z. Pronaszce, to nie moglibyśmy odróżnić Rafała od Pronaszki, — skoro obydwa malują abstrakcyjnie. Moją dyskusję zmuszają mnie wciąż do powtarzania rzeczy znanych. Sztuka przedstawiająca korzysta z elementów przedmiotowych, przedstawia bowiem człowieka, drzewa, skały itd., organizując je podług wewnętrznych potrzeb artysty, w oparciu o pewną prawidłowość mniej lub bardziej wyraźną. Ta prawidłowość wyraża się w celowym układzie elementów obrazu, w jego kompozycji, rytmice, zestroju barwnym itd. Jakości organizujące dzieło

# Z DAWNEJ POEZJI ROSYJSKIEJ\*)

JURJ NIELEDINSKI — MIELECKI (1752 — 1828)

Prześtań słyryku mručenja  
I pojmuje moje zale,  
Zbolalej duszy wzruszenia  
Niech twe wyrażą fale.  
Twój bieg zawsze swoje płynie  
W miejscu jednym utracą,  
Tak i moja w cel jedyny  
Myśl za myślą się zwraca.  
Stąd w goryczach dni me giną;  
To natęga dręczenia,  
Że ten, co jest ich przyczyną,  
Nie zna mego cierpienia.  
Czym smutkowi przeciąć drogę,  
Co mi umysł zakłócił?  
Ach, ani chcę, ani mogę;  
W potrzebę się obrócił.  
Czcic kochanka mam za cnołą,

Jemum wołę poddała;  
Niech zawsze znoszę łęsknołą,  
Byleby go kochała.  
Z życiem pamięć jego miła  
Trwać mi będzie pospołu,  
W cóżbym ja się zamieniła  
Bez mego żywiołu!  
Wszystkie moje poruszenia  
Bierz ode mnie za dary,  
Wszystkie serca uderzenia  
Niech ci pójda w ofiary;  
Ty, którego nie mianuję,  
A w duszy obraz ryję,  
Którym widzę, którym żyję,  
Którym myślę i żyję,  
Tyś mi skarbem, ty ozdoba.  
Duch przestanie być w ciele;

Lecz choć wraz nie będą z sobą,  
Żyć będą po rozdzieleniu.  
Nie zdolają śmierci razy  
Karmu wydrzeć mej duszy;  
Serca, w którym twe obrazy  
Jej zaciekłość nie skruszy.  
Czy tego zniszczy mogiła,  
Kto swoim bóstwem dyszy?  
Jakem w życiu swoją była,  
Tak w pozgonnej zaciszy.  
Nieodstępnie się przywiążę  
Do kochanka me cienie,  
I ciebie sobą okrążę,  
Byś je brał w odetchnienie.  
Chociaż mi się serce kraje  
Ran od ciebie nabyciem,  
Ciebie swoim być wyznaję

Światem szczęściem i życiem.  
Mogę ci nie być życiową?  
Gdym raz pierwszy wdychała,  
Ze jest dusza moja kłiwą,  
Przez ciebie to poznała.  
Wszystką czułość, śtałość, wiare,  
Przyjmij za dar niezwodny;  
Jeśli odrzucasz ofiarę,  
Czemuż jej tak godny!

przełożył Stanisław Trembecki

\*) Wiersze wyjęte z mającej się wkrótce ukazać nakładem „Czytelnika” antologii pt. „Dwieście lat poezji rosyjskiej” (w opracowaniu Mieczysława Jastruna i Seweryna Pollaka).

WASYŁ ŻUKOWSKI (1783 — 1852)

## Do umarłego

(Pamięci Aleksandra Puszkina)

Leżał bez ruchu, jak gdyby z ciężkiej powrócił roboty,  
Ręce opuścił w dół; głowę skłoniwszy na pierś,  
Długo stałem ponad nim, sam jeden, patrząc z uwagą  
Zmarłemu w oczy wprost; martwy był jego wzrok,  
Twarz mi była tak znana i łatwo było dostrzec,  
Co każdy wyrażał rys — za życia nie widział nikt  
Takiego wyrazu tej twarzy. Już nie płynęło natchnienie  
Jasnym płomieniem; nie świecił ostrzy umysłu blask.  
Nie! ale myśli jakoweś, myśli głębokie, wyniosłe  
Legły na czole tym, zdawało mi się, że on  
W chwili tej był ogarnięty jak gdyby jakimś widzeniem,  
Coś się stawało tu... i chciałem zapytać: co widzisz?

przełożył Seweryn Pollak

KONDRAT RYLEJEW (1796—1826)

W kraju, gdzie tylko burze i zawieje,  
U bystrzej Leny szerokich wybrzeży,  
Drewnianych domów długi rząd czernieje  
I kilka z berwion klejonych chat leży;  
Wokoło miasta częstokół sosnowy  
Ledwie ze śniegu widać do połowy.  
Ledwie gdzieś tam w odzicanym jarze  
Bania cerkiewna dumnie się pokaże,  
A zresztą stępy i puszcza dokoła,  
I obszar śniegu okiem nieprzebytej;  
A nad śniegami wyrzynają czoła  
Gór krzemienistych poszarpane szczyty.  
Zawsze straszliwa natura w swej dziczce  
Wywiera tutaj gniew nieubłagany,  
Złośliwa rzeka pieni się i ryczy,  
Złośliwa burza ciska uragany,  
A chociaż więziom odebrano wartę,  
Jest to więzienie — tylko że otwarte.

Bojąc się strony, gdzie zima i nędra,  
Rzadko tu zajrzy jakaś postać ludzka,  
I jednostajnie swe godziny spędza  
W pół odzicanym mieszkaniu Jakucka.  
Raz lub dwa razy do roku się zdarzy,  
Co już mieszkańców ciekawością miota,  
Że z karawaną zniekanych zbrodniarzy

lem na myśli naiwnego i „akcyden- talnego” ich kopiowania. A. Ważyk stwierdza: „dopiero przemiana postawy ideologicznej stosunku do rzeczywistości społecznej i kultury pozwoli malarzom odbudować w swojej wizji świat relacji rzeczywistych”. W swoim artykule o hermetyzmie malarstwa pisał: „warunkiem nowego widzenia jest powstanie jednolitej kultury, a w każdym razie ideologii przewodniej i najbardziej aktywnej, o temperaturze tak wysokiej, żeby ogarnęła i przetopiała wszystkich i wszystko” (podkreślenia moje). Tego rodzaju poglądom dałem zresztą wyraz w różnych ustępach swego szkicu, co widocznie A. Ważyk przeoczył.

Przy sposobności warto stwierdzić, że spór o malarstwo toczy się również we Francji. Już po napisaniu artykułu o hermetyzmie dzisiejszego malarstwa, wpadł mi w ręce listopadowy numer z 1945 r. „Arts” z wstępnym artykułem Claude Roger-Marxa „Vers un nouvel académisme pictural”, wymierzony przeciw malarstwu abstrakcyjnemu, a utrzymany w tonie bez porównania ostrzejszym od mojej rozprawki. Ograniczę się do zacytowania kilku krótszych ustępów: „każdego dnia malarze rzucają nową bombę atomową, która rozbija w strzępy

wyglądy i stawia przed oczyma widzów panoramę szczątków... Mówienie o sztuce niefiguralnej w związku z rodzajem sztuki, którego racją bytu jest przedstawianie, wydaje mi się nonsensem. Malarstwo i rzeźba już z natury swej uobecniają i przedstawiają („rendent présente, re-présentent”) rzeczywistość konkretną. Sztuka iluzyjna, a więc i aluzyjna różni się pod tym względem od muzyki i architektury, które są podporządkowane innym wymogom; malarstwo, jeśli stara się ująć swemu przeznaczeniu, to po to, żeby się stać witrażem, tapetą, tkaniną, mozaiką”. — „Taki obraz, który z obawy przed przedmiotem staje się rebusem, stawia jak każdy rebus pytania i domaga się odgadnięcia. I często (umysł) zaabsorbowany tym wysiłkiem oddala się znacznie bardziej od czystej przyjemności smakowania, niż w obliczu obrazu mniej zbijaającego z tropu”. — „Podług naszego przekonania wolno się domyślać zasadniczej pomyłki pewnej liczby malarzy, od kubizmu począwszy, w tym, że oryginalności i zbawienia szukają w ucieczce od świata tak, jak gdyby kombinacje form i kolorów, dane nam przez naszą planetę, a podporządkowane warunkom równie trwałym jak ona, nie były nieograniczone i odnawiające się w nieskończoność”. — „Tymczasem czegoż

jestem świadkami? Leniwego stosowania nowych recept. Te dzieła, które zdają się wymagać dużego wysiłku i posłuszeństwa wobec wielkich zamiarów (lepiej ich jednak nie analizować), ujawniają ubóstwo słownictwa, niedostateczność techniki, nieodpowiedzialność pamięci wzrokowej oraz uczucia (maluje się uczuciem — mawiał Chardin). Malarze, którzy z pogardą traktują wyglądy przedmiotów, widocznie nie umieją sobie z nimi radzić. W obliczu nieba czy twarzy, można by rzec, nie odczuwają nic oprócz reakcji teoretycznych. Ich wielką troską to wymykanie się spod władzy przedmiotu, odwracanie się od obowiązków wobec widzialnego świata. Dążmy do granic ostatecznych tego paradoksalnego zachowania się: takie malarstwo, jak również krytyka, która je pochwała, — żeby mieć więcej swobody i usunąć się z planu widzialnego, — powinny być praktykowane wyłącznie przez ślepców”. O ile mi wiadomo, autora tych słów nie próbowało zdyskredytować w jego ojczystej prasie.

Sądzę, że celowym zakończeniem tego artykułu będzie związane usystematyzowanie moich zasadniczych poglądów na sztukę i jej funkcję.

1. Sztuka przedstawiająca istnieje wówczas, kiedy dochodzi do głosu pewna równowaga między elementa-

DYMITR WIENIEWITINOW (1805 — 1827)

## Życie

Z początku życie kusi nas:  
Serdecznym ciepłem myśl nam pieści,  
Dziwactwem złud, ponętą kras,  
Jak fantastyczne opowieści.  
W oddali gdzieś tam czyha lęk,  
Lecz rozkosz tkwi w tym łęku właśnie,  
Co rozwesela wyobraźnię,  
Jak opowieści starca dźwięk,  
Jak nocą czarodziejskie baśnie.  
Lecz wkrótce cuda już nie dziwią  
I czarodziejstwa błędnie kłam.  
Na świat patrzymy już leniwo,  
A potem życie brzydnie nam.  
Jego intryga, treść i finał  
Dłuży się, nuży, nudzi nas,  
Jakby kto beśń przed snem zaczynał  
Słyszaną już nie jeden raz.

przełożył Czesław Jaszczyk-Kozłowski

PIOTR WIAZIEMSKI (1792 — 1878)

## Do siostry Puszkina

Nas złączył los; ku tobiem musiał iść,  
Łęczy nie jak ślepiec, choć szedłem w posłuchu,  
Siostrzo poeły, opiekuńcza duchu,  
Mnie także sercem krewna nie od dziś!  
Tak w mej pamięci i o! rzędy dobie  
Marzenie o nim żywszy żłobi ślad:  
Brała z początku pokochałem w tobie,  
Przez siostrę miłszy jeszcze stał się brat.

Los jego: sławy wiecznie — szczodrobliwiej  
Rzadko nam z chmur przeświecający blask,  
I padnie promień żarliwy jej łaski  
Na życie twoje w beztrosce szczęśliwej.

Lecz ty mu większe dobrodziejstwa nieś!  
Nad jego głową świeć gwiazdą pogodną,  
Pociechą w burzy, przyjaźnią łagodną  
Jego łęskniącą uspokajaj pierś.

przełożył Mieczysław Jastrun

## Wojnarowski

Cz. I.

Przyjdzie żołnierzy uznojonych rota;  
Lub ruscy kupcy ze swą karawaną,  
Czasem po futra sobole tu staną,  
Wtedy zakipi zapomniana słońca,  
Odżyją życiem zamarte plemiona:  
Płynię do miasta tłum żyjący dziko,  
Jakut, Jukagir, swój podatek niesie,  
Tunguz, co błędny snuje się po lesie,  
I ruski kozak z wyostrzoną piką.

A kiedy zima na skrzydłach zamieci  
Z tych stron ponurych na chwilę odleci,  
Kiedy zagwarzą ocienione knieje  
I bystra Lena po bliźniach rozleje,  
To tak się zdaje błogo w okolicy,  
Niewystawionej rzewności tak wiele,  
Jak kiedy czasem do więzienia ciemnicy,  
Wleci ukradkiem chwilowe wesele;  
Więzienna ściana miłszym zadrga echem,  
Lub co się czasem przez omyłkę zdarza,  
Że przymuszonym a ciężkim uśmiechem  
Zabłyśnie czoło pochmurne zbrodniarza.  
Lecz któż to cicho z domu się wymyka?  
Czyj to cień bładny mgła poranna łamie?  
Idzie wybrzeżem kręgiem strumyka,  
Długą gwintówkę zwiesiwszy przez ramie:

Chochrała czapka okrywa mu głowę,  
A czarny kaftan szeroki pas spina;  
W takim ubiorze kozaki dniewprowe,  
Zwykli wychodzić, gdy się bój poczyna.  
W jego spojzeniu niespokój ponury,  
Na czole gniewu i łęsknoły chmury,  
I rzewna dumka, co stawi przed oczy  
Ślad ciężkich bojów, które z losem toczy.  
Ku zachodowi objęcia rozgarnie,  
Ze źrenic iskra ognista wybuchła,  
Z głosu, co zdradza wewnętrzne męczarnie,  
Taka się skarga wydobywa głucha:

„Pola rodzinne! o kraju mój miły!  
„Już was nie ujrzę, nie przywitam czule,  
„Już was do piersi swoich nie przytulę,  
„Święte dla serca praocjów mogiły!  
„Wśród ognia nie piersi pochłania,  
„Być pożytecznym nieba mi nie dały,  
„Wśród haniebnego na Sybir wygnania  
„Umrzeć z łęsknoły — oto los mój cały!...  
„Pola rodzinne! o kraju mój miły,  
„Już was nie ujrzę, nie przywitam czule;  
„Już was do piersi moich nie przytulę,  
„Święte dla serca praocjów mogiły!”

przełożył Władysław Syrokomla

mi rzeczywistości a tzw. jakościami abstrakcyjnymi. Dzieło musi być bowiem uporządkowane.

2. Obraz nie przestaje należeć do sztuki, jeśli następuje w nim przewaga jakości abstrakcyjnych, chociaż w takim przypadku jego ekspresja ulega często stłumieniu; natomiast nie ma on nic wspólnego ze sztuką, jeśli ogranicza się do mechanicznego kopiowania przedmiotów.

3. Za dzieła klasyczne (doskonałe) uznaje ludzkostwo dotychczas takie, które spełniają warunek absolutnej harmonii między warstwą elementów przedmiotowych, a warstwą porządkujących jakości abstrakcyjnych.

4. Dzieło uzyskuje sens kulturalny i społeczny wówczas, kiedy w pewien sposób wiąże się z życiem i ideologią swojego czasu.

5. Normalni ludzie odczuwają potrzebę tych związków, jak również stosowania jasnych i czytelnych środków wyrazu.

6. Dawniejsza sztuka niemal z reguły spełniała te postulaty, dzisiejsza często je lekceważy.

7. Sztuka współczesna odzyska znaczenie społeczne wówczas, kiedy potrafi zadośćuczynić tym postulatom; jest rzeczą zrozumiałą, że kultywowanie sztuki wymaga odpowiednich warunków gospodarczych.

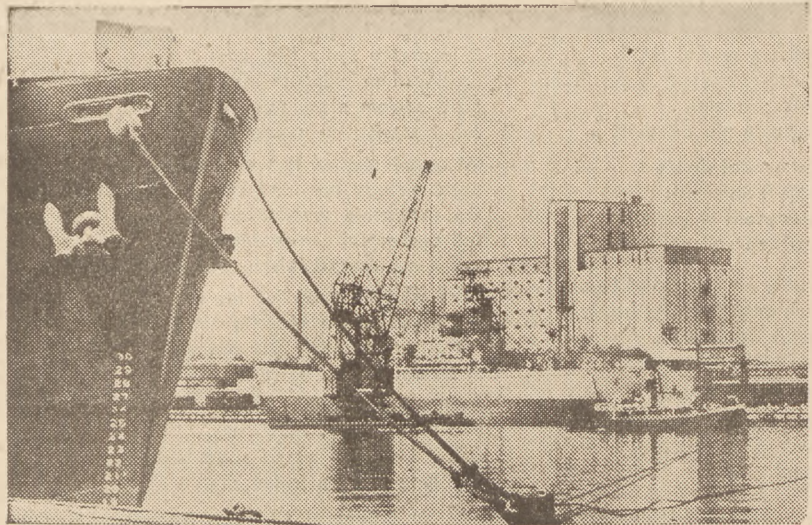
Tadeusz Dobrowolski

## JESIENIĄ NAD BAŁTYKIEM

Edmund Zdanowski



W porcie gdynińskim ożywiony ruch statków



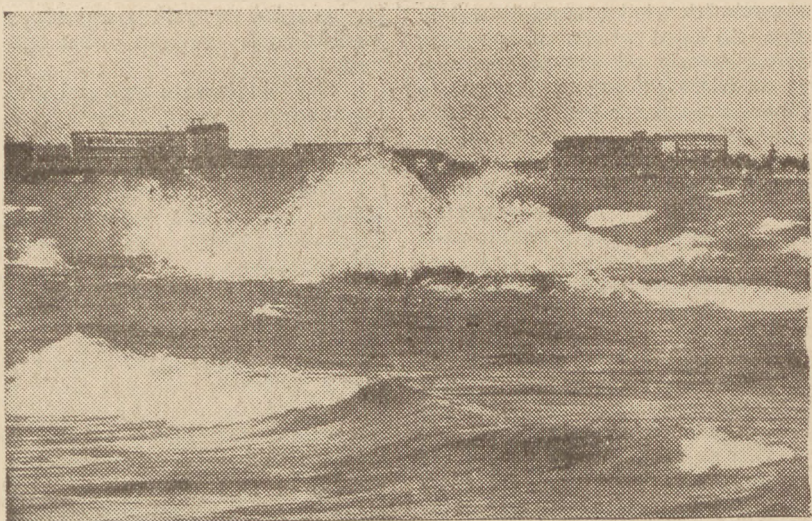
Dźwigi portowe wyladują przywiezione towary



Na pełnym morzu



Jeszcze przed chłodami jesiennymi wyruszył „Dar Pomorza“ na rejs ćwiczebny



„Wysoka fala“ przynosi przejmującą wilgoć zimy

TADEUSZ PEIPER

## Z epizodów wrześniowych

Bok ratusza tworzą arkady, w których głąb wiodą z trotuaru dwa czy trzy kamienne stopnie. Tam spędziły noc — zapowiada oficer niemiecki. Podarkadowy trotuar będzie odgrodzony od reszty rynku karabinami maszynowymi, wszelka próba wyjścia poza tę ściśle ograniczoną powierzchnię będzie wstrzymana kulami i to bez żadnych uprzedzeń.

Na rozkaz zajmowania miejsc zaczyna się pogoń za najlepszymi, przedmiotem najbardziej pożądanym w głębi arkad, szczególnie te pod ścianą. Działają łokcie, wynikają kłótnie, obecność wroga nie przytrzymuje dusz za zębami.

Mnie przypada miejsce na najniższym stopniu, obok jakiegoś opasatego kolejarza. Ze zbyt wiele troski zużył, by kolejowy transport piwa nie dostał się w ręce Niemców, czuje to naprzód na moim ramieniu, które obrał sobie za podporę zachwianej równowagi, a potem pod nosem, bo wkrótce chwiejność mojego pijanego sąsiada obejmuje oba końce jego przewodu pokarmowego. Jestem zmuszony zejść ze stopnia i resztę nocy spędzić na trotuarze.

Leżę na nim całą długością ciała. Tak kończy się dziesiąty wrześnie, dzień dostania się pod niemieckie lufy.

Rano rynek Radymna uzupełnia się mieszkańcami, którzy na widok nowości, wniesionych w ratuszowe arkady, zapieniają tłumnie okna i bramy swych domów. Patrzają wystraszeni.

Śmielsi wychodzą z domów, zapuszczają się w rynek i co jakiś czas zmniejszają o krok odległość między sobą a nami. Gdy już można bez krzyczenia słyszeć się wzajemnie, zaczynają krótkie dialogi na temat: skąd? jak? kto?

Jakaś kobiecina chce dać komuś zziębtemu trochę herbaty; lecz czy Niemiec pozwoli? Nikle skinienie głowy, pozwala. Wtedy druga kobiecina chce dać drugiemu zziębtemu trochę kawy, lecz czy Niemiec pozwoli? Jak poprzednio, pozwala. Obie kobiety odchodzą najszybszym krokiem, na jaki je stać, i przynoszą „trochę“ kawy i herbaty — w dzbanach. Tak to szczęśliwie podjęte próby doprowadzają automatyką tkwiących w nich możliwości do tego, że gromada radymianek zasila całą naszą gromadę napojami przynoszonymi we wiadrach, a także chlebem, bułkami, kiełbasą.

Te radymianki to wyłącznie Żydówki, żony, córki, siostry właścicieli małych sklepików i małych warsztatów rzemieślniczych. W przeczuciu przyszłych cierpień własnych czują głęboko cierpienia cudze, przez ich twarze przebiega jawna tkliwość. Przychodzą z pomocą wszystkim bez różnicy pochodzenia, dają temu kto pierwszy złapie za szklankę lub kto pierwszy dosięgnie chleba czy kiełbasy.

Są tacy, którzy — rozpychając się — sięgają kilka razy po ręce ofiarodawczyń, podczas gdy inni albo w ogóle nie mogą się docisnąć albo z trudem. Niektórzy rozpychiwacze są tak natrętni, że ze złośliwym uśmiechem obserwują ich żołnierze niemieccy, a jeden zaczyna występować nawet w roli strażnika sprawiedliwości: odpędza rozpychiwaczy, robi miejsce odpychanym.

Ofiarodawczynie zaczynają już przynosić odzież; kaszkiety dla tych, którzy w drodze pogubili swoje, swetry dla innych, którzy skarżą się na chłód. Ktoś w ukryciu zdejmując ze siebie pulower i wpycha w swój plecak, po czym z bolejącą miną zebrze o nowy u jakiejś starej, serdecznie dobrej Żydówki, aż rozplakanej ze współczucia. Inny spryciarz, przyjaciel spryciarza — „strażaka“, emabluje młodą ładną dziewczynę, po czym prosi ją o sportową koszulkę; dziewczyna kładzie rękę na sercu i przysięga na zdrowie swego brata na froncie, że nie ma.

Pojawiają się na rynku chłopki z koszami i workami; dowiedziały się o jeńcach i z okolicznych wsi przynoszą gruszki, jabłka. Sprzedają je tanio i ludzie cisną się wokół

\*) Fragment książki „Pierwsze trzy miesiące“.

nich, wylapują im z rąk soczysty towar.

W rozgorączkowanym naporze zatarła się linia ograniczająca swobodę naszych kroków i oto polskiemu kapitanowi, który w towarzystwie swego kaprala znalazł się nagle w naszej gromadzie, powierza niemiecki kapitan zadanie utrzymywania nas w obrębie linii granicznej. Ale nasz kapitan nie czuje prawowitości władzy otrzymanej od Niemca i poprzestaje na przyjaznych, niemal poufnych perswazjach.

Żołnierz niemiecki, który już poprzednio występował w roli strażnika sprawiedliwości, czyni to dalej, podprowadza odpychanych pod kosze i worki wieśniaczek, ba, wylapuje rozpychiwaczy i odstawia ich na bok. Już ich jest sześciu. Odprowadza ich. Znikają w jednej z przyrynkowych ulic. Za jakie dwie godziny ukazują się znowu, mają miny katorżników, ciągną ciężki wóz. Na wozie trupy. Przez nich samych wydobyte ze zbombardowanych budynków i spod ich gruzów.

Kapitan niemiecki częstuje naszego papierosem, a stojącego obok kaprala — pomija. Ale w tej samej chwili nasz kapitan wydobywa swoje papierosy i częstuje nimi swojego kaprala. Miły drobiazg.

Huki. Nasłuchujemy. Armatnie.

Żołnierze niemieccy, stojący na rynku, patrzą śledczo na niebo, po czym nerwowo zapędzają nas pod arkady. Wszyscy muszą się pod nimi zmieścić, ani jeden nie śmie zostać na trotuarze. Jest możliwy nalot. Jaki? Milczą.

Znawca maszyn w naszej gromadzie twierdzi, że widzi samoloty polskie. Oddalają się. Jeszcze je widać. Jeszcze. Jeszcze. Jeszcze. Jeszcze. Już — nie.

Około południa prowadzą nas Niemcy do żydowskiej bożnicy, modlitewne ławy wypełniają się obcą masą ludzką, jej bagażem, jej prowiantem, jej hałasem.

Wzywają kilku mówiących po niemiecku, spisują z nimi protokół, który stwierdza, że nasza gromada jest zbiorowiskiem przypadkowym, że zeszli się w niej ludzie z różnych stron i z różnych dróg.

Zjawia się major i oświadcza, że: jesteśmy zobowiązani opuścić teren Radymna; celem, do którego wolno nam po wyjściu stąd zmierzać, może być wyłącznie poprzednie miejsce zamieszkania; drogi, które obierzemy, mogą prowadzić wyłącznie na zachód, jednakże z omijaniem dróg wiodących do Jarosławia, bo tam toczą się boje; wszelkie wybory dróg, niezwiązanych z przepisaniem powrotem, będą uważane za akcję podejrzaną i będą podlegały karom przewidzianym przez prawo wojenne; wyruszyć w drogę mamy natychmiast; po upływie dziesięciu minut nikt nie ma prawa przebywania na terenie Radymna; jest godzina pierwsza minut 50.

— Meine Herren, ich wünsche Ihnen Glück.

Uprzejmy major, ho ho, życzył nam szczęścia na drogę. Nasza droga jest srogo przepisana i srogimi groźbami obwarowana, ale otrzymujemy życzenia, aby nam na niej towarzyszyło szczęście.

Ożywają się Żydzi. Hitlerowcy —

powiadają — mogą być okrutnikami i barbarzyńcami, ale oni to przecież nie cała armia niemiecka i nie całe Niemcy. Wszystkie wyższe szczeble zajmują w armii ludzie z okresu przedhitlerowskiego, a ci ludzie mają honor wojskowy i w ogóle inne pojęcia. Ten major, który nam życzył szczęścia na drogę, to dowód. On, człowiek o siwiejących skroniach, służył jeszcze w dawnej armii, to wychowanek okresu przedhitlerowskiego i zaraz widać, że to inny człowiek. Zresztą i hitlerowcy nie będą tacy, za jakich się podawali; co innego agitacja, a co innego działalność w praktyce. Nie zastosują w stosunku do Żydów tych wyjątkowych metod, jakie zapowiadali, choćby dlatego, że ilość Żydów w Polsce to nie ilość Żydów w Niemczech i trzech milionów zlikwidować nie można.

Są tacy, którzy życzenia majora łączą z zachowaniem się żołnierzy na rynku, z ich pozwalaniem na odżywianie nas, z występowaniem w obronie odpychanych. Ci z satysfakcją stwierdzają, że Niemcy to jednak kulturalny naród. To, co hitlerowcy robili w Austrii, w Czechosłowacji, no i u siebie, to były porachunki międzypartyjne, to była walka z komunistami, a to, co my na razie możemy powiedzieć, nie jest tak złe, jak się tego obawiano. Wojna nie jest flirtem, wojna jest wojną i ma swoje prawa, na ogół jednak... na ogół... może tu i ówdzie jakaś jednostka... jakieś jednostki... ale jako całość — nie.

W naszej gromadzie jest osiemnastoletni chłopak z Olkusza. Twarz zdrowego parobczaka wiejskiego. Tego roku zdał maturę gimnazjalną. Był moim sąsiadem na ławie w bożnicy i teraz, gdy wychodzimy z Radymna, tworzy ze mną i z klerykiem grupkę w gromadzie. Idzie z oczyma wbitymi w ziemię. Młodzieńki, a tak smętnie zamyślony. Gdy nasza grupka odłączyła się od reszty, wypowiada swą myśl:

— A ja myślę, że oni tak tylko na początek. Po to, żeby nas łatwiej zająć. Żebyśmy byli grzeczni. Potem dopiero pokażą.

Radośnie słucham tej jego wypowiedzi. Raduje mnie każde zdanie tego mądrego chłopca. Nie przerywam.

Czując, że już nic nie powie, potwierdzam:

— Tak, tak. Pojmali nas i puścili nas. Każą nam wracać do miejsc naszego stałego pobytu, gdzie czeka nas los przygotowany przez ich ludzi. Lecz skoro już nas mieli wypuścić, postanowili to wykorzystać. Chcą, abyśmy byli nieświadomymi roznosicielami krzywdy dla nich wieści, wieści o dwóch niemieckich duszach; o niemieckiej zdolności popędzania okrucieństw i niemieckiej zdolności wyświadczenia dobrych uczynków; pierwsza dusza miałaby być dla opornych, druga dla uległych. Tak to zależnie od swego interesu mieliby stosować jedną lub drugą duszę. Pragną, abyśmy z takimi myślami szli między swoich. Ale są wśród nas przenikliwi, którzy wiedzą, że tej dwoistości wcale w nich nie ma, że jest tylko pozór i rzeczywistość. Gdy wysuwają jedwab, pod jedwabiem czają się szpony.

Tadeusz Peiper

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA  
• CZYTELNIK •JUŻ UKAZAŁY SIĘ NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH  
DWIE KSIĄŻKI O BOHATERSKIEJ WARSZAWIE— \* —  
JAN DOBRACZYŃSKI

W ROZVALONYM DOMU

STRON 256

CENA ZŁ 200

— \* —  
JERZY PYTLAKOWSKI

POWSTANIE MOKOTOWSKIE

STRON 111

REPORTAŻ

CENA ZŁ 120



MARY BANCROFT

## La France éternelle\*)

przełożył JACEK FRÜHLING

Wracam z krótkiego pobytu w Paryżu. Przypadek zdarzył, że tym razem mieszkałam w tym samym pokoju tego samego hotelu, w którym zatrzymałam się, przyjeżdżając do Paryża po raz pierwszy 27 lat temu, bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej. Nic dziwnego, że ożyło przy tej okazji wiele dawnych wspomnień. Nie byłam wtedy tym człowiekiem, którym jestem dzisiaj: Amerykanką, która mieszkała poza swoim krajem, która mówi po francusku, kocha francuską literaturę i sztukę i trochę rozumie myśli i uczucia ludzi, reprezentujących inne narody. Byłam piętnastoletnią dziewczyną amerykańską, która razem z innymi pięcioma dziewczynami amerykańskimi oraz z dwiema nauczycielkami włożyła się po Europie. Obie nauczycielki zapewniły naszym rodziców, że po upływie 6 tygodni wesslemy w siebie pewne quantum europejskiej a raczej francuskiej kultury. Nasi krewni, rekrutujący się z frankofilów, w długich perorach zachwalali nam cuda Francji oświadczając, że od razu nabierzemy wdzięku i uroku, skoro tylko zaczniemy mówić po francusku, rozumieć francuską „culture”. Oczywiście, każda z nas marzyła o tym, aby się stać pełną tego wdzięku i uroku. Ale jak to zrobić, jak to osiągnąć?

W szkole opowiadano nam o markizie de la Fayette i o tym, jak to w roku 1776 z jego pomocą udało nam się wywalczyć u perfidnych Brytyjczyków naszą wolność. Podczas wojny śpiewaliśmy „Good bye Broadway! Hallo France!” oraz piosenki o francuskiej lilii. Śpiewając te pieśni byliśmy pełne dumy, że nareszcie możemy markizowi de la Fayette zwrócić dług wdzięczności. Uczucie to osiągnęło swój punkt szczytowy, kiedy dowiedzieliśmy się o nigdy prawdopodobnie nie wypowiedzianym powiedzeniu generała Pershinga: „Markizie la Fayette! oto jesteście!” Uważaliśmy, że francuski trójbarwny sztandar jest precudowny, a melodia Marsylianki o wiele bardziej porywająca od naszego hymnu narodowego. Kiedy poprzez chmury pyłu przejeżdżałyśmy przez pola bitew, które w latach 1914—18 zdobyły rozgłos, byliśmy głęboko wstrząśnięte dziełem pełnego, beznadziejnego zniszczenia. Wiedzieliśmy, że Francja, a raczej jej ziemia, kryje zwłoki niezliczonych Amerykanów, i to pobudzało naszą młodzieńczą fantazję. Verdun, Somma, Marna — wszystko to były nazwy bliskie naszym sercom. Francja napelniała nas pełnym czci lękiem. A równocześnie, czuliśmy się jakiegoś opuszczone. Nie wiedzieliśmy co począć, by nawiązać kontakt z Francją i z francuskim człowiekiem. Nasze towarzyszy i opiekunki paplały w dzień i w nocy o francuskiej kulturze, a my byliśmy po prostu nie-szczęśliwe. Z biegiem czasu zaczęłyśmy traktować tę kulturę jak coś w rodzaju oleju rycynowego: musi się to połykać, czy się chce, czy się nie chce, bo „skutek będzie dobry”. Krótko mówiąc, czuliśmy się równie źle, samotnie i podle, jak setki żołnierzy amerykańskich, którzy teraz siedzą na tarasach kawiarni paryskich, teraz, kiedy druga wojna światowa skończyła się, a pod ziemią francuską leży jeszcze więcej amerykańskich żołnierzy.

Rozmawiałam z całą masą tych wojskowych. Nieprawdopodobnie to beznadziejne towarzystwo. Po prostu wierzyli mi się nie chciało, że to ci sami ludzie, którzy byli na urlopie w Szwajcarii. A jednak tak było, niejedno to potwierdził. Jakoś potrafili znaleźć do Szwajcarii drogę; do Francuzów drogi tej nie znaleźli. Ani do francuskiego życia. Ich reakcje przypominały mi moje własne i moich towarzyszek szkolnych w okresie, w którym nie doszliśmy jeszcze do właściwej oceny życia francuskiego i francuskiej kultury.

„Czy pani naprawdę wierzy, że jest to po prostu zagadnienie urządzeń sanitarnych?” — zapytał mnie jednego wieczoru pewien bardzo rozsądny Francuz, z którym rozmawiałam na temat tragicznej okoliczno-

ści, że podczas obydwu wojen światowych było między Francuzami i Amerykanami tyle starć na terenie Francji. Nie mogłam temu niestety zaprzeczyć. Człowieka, który wyrósł w Stanach Zjednoczonych, gdzie przykłada się tyle wagi do higieny i czystości, odpychają pewne zjawiska życia francuskiego. Obok sprawy tych „urządzeń sanitarnych” jest jeszcze sprawa stosunku Francuzów do pracy. Stosunku, który się najrozmaiej tłumaczy, a który można by najlepiej określić następująco: cały naród francuski chciałby, by życie było jednym długim, płatnym urlopem (vacances payées)!

Było mi we Francji straszliwie smutno. Paryż i krajobraz francuski są przepiękne, to prawda. Ludzie francuscy mają jak zawsze ten sam polot i rozmach. Niejednokrotnie ma się wrażenie, że świat byłby jeszcze bardziej ubogi, jeszcze bardziej szary bez francuskiego dowcipu i humoru. Bezpośrednio przed przekroczeniem granicy francuskiej pociąg nasz nagle się zatrzymał. Spojrzałam przez okno i zobaczyłam, że hamulce ołoczone są kłębam dymu. Na moje zapytanie, czy z takimi hamulcami dojedziemy do Paryża, konduktor francuski wzruszył ramionami i szczerząc w uśmiechu zęby powiedział: Ça dépend, Madame, si les freins s'adaptent”. W kilka godzin później zatrzymaliśmy się na małej stacyjce. Przez otwarte okno wagonu kolejowego płynęła rzewna melodia „Indian Love Call”. I znowu ujrzałam Francuza, a raczej francuskiego kolejarza, który z powagą przyglądał się dymiącyemu w dalszym ciągu hamulcom. Czy się przystosują? Czy adaptacja się uda? Kto to może wiedzieć... Taksówka, którą jechałam w Paryżu, omal nie przejechała pewnego przechodnia. Wybuchła gwałtowna wymiana słów między szoferem i jego nieszcześliwą ofiarą. Ruszając, szofer wychylił się z wozu i zawołał do wymyślającego w dalszym ciągu przechodnia: „Tu n'es pas beau! Tu peux être quand même poli! (Ładny to ty nie jesteś, ale mógłbyś być przynajmniej grzeczny)”.

Pewnego dnia byłam u przyjaciół na obiedzie. Wszyscy synowie rodziny pełnili ważne funkcje w Ruchu Oporu. Ale była sobota i ojciec, starszy, dystyngowany pan, wpły-wowa figura w świecie bankowym, nie umiał ukryć zniecierpliwienia — spieszył się na wyścigi konne. W pewnej chwili oświadczył z wielką uprzejmością, że bardzo chciałby mnie jeszcze przed odjazdem zobaczyć. Czy zostanie w Paryżu przez czas dłuższy? Ktoś z rodziny powiedział, że przyjechałam do Paryża na konferencję pokojową. „Ach” — odezwał się starszy pan — „więc mamy teraz jakąś konferencję pokojową? Rzeczywiście, coś tam o tym czytalem w gazecie. Ile narodów bierzem w niej udział? Dwadzieścia jeden, pięćdziesiąt jeden? Pani mi wybaczyć, nie chciałbym się spóźnić na pierwszy bieg, mam nadzieję, że konferencja da pani sporo emocji”. I poleciał na wyścigi.

Jest w Paryżu wiele piękna, sporo elegancji, ale jest również straszliwa nędza. I tak jak po mejej podróży po Niemczech zostały mi w pamięci tablice pomieszczone przez Amerykanów na skrzyżowaniach autostrad: „Na każdym kroku czyha śmierć, prowadź ostrożnie samochód”, z Francji zostało mi wspomnienie białych, bosych nóg Francuzek. Kiedy siedziałam na bulwarach i z tarasu kawiarni przyglądałam się przechodzącym tłumem, nie mogłam oderwać wzroku od białych, nerwowych, zmęczonych, załatanych nóg kobiet paryskich. Żadna z tych kobiet nie nosi pończoch, żadna prawdopodobnie nie siedzi w słońcu, nogi ich mają białoską kredę. Te nogi pędzą po bulwarach w nerwowym, prawie szaleńczym rytmie. Dokąd? Po co?

Już w pierwszym dniu mego pobytu, uświadomiłam sobie, że większość tych kobiet chodzi i biega bez końca tylko po to, by znaleźć drogę przez trudności życia codziennego. Dlatego nogi ich mają taki zdenerwowany wygląd. Dlatego zapewne twarze ich pełne są zmęczenia i wyczerpania. Sprawy bowiem egzysten-

cji codziennej, to ciągle jeszcze problemy we Francji całkowicie nie rozwiązane. Kiedy dzwoniłam do moich starych przyjaciół, prawie zawsze padało pytanie: „Co mogę dla pani zrobić?” Z początku przy-gnebiało mnie to. Czy ci wszyscy ludzie naprawdę myślą, że dzwonię tylko po to, aby coś dla mnie zrobili? Później zorientowałam się, że pytanie to jest po prostu wynikiem przyzwyczajenia. Ludzie po prostu przyzwyczaili się w pewnym stopniu do tego, że warunki egzystencji są jeszcze ciągle niezwykle ciężkie. Więc chcieliby jakoś pomóc, wykorzystając swoje wpływy i stosunki.

Ludność jest wyjątkowo cierpliwa i dobrodusza. Na dworcu liońskim stałam cztery i pół godziny w kolejce, aby dostać bilet do Szwajcarii. Dwie godziny stałam w kolejce, aby dla pewnej znajomej kupić trochę chleba. Wśród towarzyszy niedoli nie było niecierpliwych. Gadali bez końca, powtarzali plotki, dawali sobie tajemnie rady. Stojąc w tych kolejkach uświadomiłam sobie, że trzeba żyć jak pcha wodna, poruszać się tylko na powierzchni życia. Nie wolno wdzierać się za głęboko, złościć się, że nie wszystko idzie tak, jakby się miało. Trzeba się uśmiechać, kiedy strajkują telefony, poczta, kiedy w sierpniu wszyscy ludzie idą na „płatne urlopy”. Dla kogoś, kto jest skłonny do wybuchów, Francja dzisiejsza nie jest terenem odpowiednim. Mimo to spotkałam Francuza, rodowitego Francuza, który mi powiedział: „Dzisiejsza Anglia napełnia mnie smutkiem,

Francja doprowadza mnie do szału”.

Tego popołudnia, podczas którego Jan Masaryk mówił w imieniu Czechosłowacji, odwiedziłam konferencję pokojową. Mowa Masaryka, wygłoszona po angielsku, była krótka i przekonująca. Podziękowałam na wstępie gościnnej „La France éternelle”, podkreślił, że Czechosłowacja i Francja mają jedną rzecz wspólną: niespokojnego, zaborczego sąsiada. Ludzkość — powiedział — stoi teraz albo przed erą trwałego pokoju, albo przed zupełną zagładą. Potem usiadł wśród konwencjonalnych braw.

Pałac Luksemburski, w którym obraduje konferencja, ozdobiony jest wspaniałe chorągiewami biorących udział w konferencji narodów. Długie szeregi policjantów francuskich, w sztywnie skrojonych mundurach, tworzą barwny i żywy obraz. W sali oczy każdego przybysza szukają oczywiście Mołotowa. Siedzi on daleko, prawie pod balkonem, gdyż narody zostały usadowione wedle alfabety. Stany Zjednoczone dopuściły się pewnej drobnej szacherki: nazywają się tutaj Ameryką i dlatego mogli zająć pierwsze miejsca. Przewodniczy p. Bidault. Od czasów Edena na pewno żaden mąż stanu nie był ubrany tak wytwornie. Po prawej stronie rozsiadła się delegacja abisyńska. Jeden z jej członków zjawia się codziennie w nowym arcybarwnym stroju; jego broda, omywana henną, dała już dziennikarzom sporo materiału do satyr.

Oczywiście, do sprawy tak poważ-

nej jak konferencja pokojowa nie można podchodzić z powierzchownymi uwagami. Ale siedząc na trybunie prasowej i patrząc na salę, nie mogłam przy najlepszej woli przejąć się poczuciem, że tutaj tworzy się historia. Zjawili się również moi przyjaciele z kilku państw bałkańskich, których los ma się tutaj rozstrzygnąć. Bardzo się denerwowali w związku z różnymi liniami granicznymi, ale nawet ich zdenerwowanie szybko mijało. Po wyrzuceniu wyrazów oburzenia na temat sąsiada, z westchnieniem podawali się i zmęczonym tonem oświadczaali, że w gruncie nie są to sprawy zasadnicze. Miało się wrażenie, że są zadowoleni, że przynajmniej dane im było spędzić w Paryżu ostatnie dni Europy. Ten nastrój „derniers jours de l'Europe”, to ukanie istotnych rozstrzygnięć, ta atmosfera czegoś bezpowrotnie straconego, unosząca się nad Pałacem Luksemburskim, wytwarzają uczucie smutku i depresji, przeżywane przez cały Paryż.

Kiedy tak siedziałam, kiedy wzrok mój błądził między niewiarygodnie wytwornym p. Bidault, a małymi, okrągłymi, mocnymi rękami Mołotowa, ciągle widziałam w duchu białe, gołe, nerwowo dręczące nogi paryżanek. I nasuwało mi się pytanie, czy na tych nogach historia nie poszła o wiele dalej poza uprzejme albo mniej uprzejme mowy panów w Pałacu Luksemburskim, na który teraz są skierowane oczy świata.

Mary Bancroft  
przełożył Jacek Frühling

## Kłopoty ludnościowe Francji

Wyludnianie się Francji jest od dawna czołowym zagadnieniem społecznym naszego sprzymierzeńca znanego Sekwary. Już po pierwszej wojnie światowej pisało się tam na ten temat bardzo dużo i w prasie i w publikacjach. Szczególnie zainteresowanie tą sprawą w okresach wojennych jest rzeczą całkiem zrozumiałą. Straty ludnościowe są bowiem dla Francji najbardziej dotkliwe.

## STRATY WOJENNE

Podczas wojny 1914—18 dowództwo francuskie — wychodząc ze słusznych strategicznych założeń — polejmowało często działania ofensywne, które były bardzo kosztowne ze względu na ogromne straty w ludziach.

Dlatego też straty w szeregach wojsk francuskich były największe. Wyrosły one na frontach europejskich 1 245 800, w koloniach 108 200, czyli razem 1 354 000. Ponieważ w koloniach ginął przeważnie żołnierz kolorowy, a w porównaniu z ostatnią wojną straty ludności cywilnej były stosunkowo niskie, można przyjąć, że wskutek działań wojennych zginęło niecałe 1 300 000 Francuzów.

Szczegółowe dane strat po drugiej wojnie światowej przedstawiają się następująco (według „Population”, nr 1, Paryż, styczeń—marzec 1946):

1. Nadwyżka zgonów naturalnych nad urodzeniami	530 000
2. Wojskowi zabiłi lub zmarli z ran (w tym 50 000 Alzateńczyków i Lotaryńczyków w wojsku niemieckim)	200 000
3. Cywilne ofiary wojny	160 000
4. Francuzi zmarli za granicą (przeważnie w obozach koncentracyjnych)	240 000
5. Francuzi osiedleni w Niemczech	20 000
6. Wyjazd cudzoziemców	300 000
<b>Razem</b>	<b>1 450 000</b>

Jeśli z powyższego zestawienia wyodrębniemy straty francuskich oddziałów frontowych, to otrzymamy cyfrę 150 000. Jest to tylko 12% w porównaniu z poprzednią wojną. Jeśli zechcemy porównać ogólną liczbę ludności, która zginęła z powodu bezpośrednich skutków wojny i okupacji (to znaczy również ofiary cywilne bombardowań i obozów koncentracyjnych, czyli rubryki 2, 3, 4), to ta ostatnia przyniosła stratę

600 000. Stanowi to 46% tych strat, jakie Francja poniosła w poprzednich zmaganiach wojennych.

Nie mogąc — z powodu braku danych z lat 1914—18 — porównać ogólnego ubytku demograficznego ludności francuskiej w obu wojnach, możemy jedynie stwierdzić, że w drugiej wojnie światowej Francja straciła prawie cały przyrost rzeczywisty z okresu międzywojennego. Jest to strata dotkliwa, tym bardziej, że nie nastąpiła poprawa sytuacji demograficznej przez wzrost liczby urodzin. Wprawdzie współczynnik urodzin w roku 1943 był nieco wyższy niż w r. 1939, ale jednocześnie był on znacznie niższy niż w wielu państwach europejskich.

## ZMIANY

## STRUKTURY ZAWODOWEJ

Drugim złym skutkiem wojny są niekorzystne zmiany w strukturze zawodowej, zaznaczające się zresztą już przedtem. Idzie tu głównie o ucieszkę od ciężkiej pracy to znaczy: od rolnictwa, górnictwa i niektórych gałęzi przemysłu.

Okazuje się, że rolnictwo straciło 1 milion pracowników, czyli 15% stanu przedwojennego, przemysł 30% uprzednio zatrudnionych robotników; w hutnictwie np. ubytek był szczególnie duży, dochodzący do 57%. Ogółem 3 miliony osób zawodowo czynnych, czyli 13%, przeszło do zawodów nie produkujących, to znaczy do handlu i administracji. Liczba przedsiębiorstw handlowych wzrosła o 180%, dochodząc do 2 milionów. Urzędnicy i pracownicy państwowi z 800 000 do 2 milionów.

Podczas wojny — zwłaszcza pod okupacją — miało to swoje uzasadnienie. W czasach normalnych jest to zjawisko szkodliwe i jak się okazuje trudno odwracalne.

## ŚRODKI ZARADCZE

Środkami zaradczymi, którymi Francja chce wywołać poprawę tej niekorzystnej sytuacji, jest przede wszystkim odpowiednia propaganda rozrodczości, higieny społecznej oraz ustawodawstwo zmierzające między innymi do premiowania licznych rodzin i ciężkiej pracy (np. górnictwo, hutnictwo).

Poza tym prowadzi się badania zagadnień imigracyjnych, a nawet zaczyna się wprowadzać w życie nowy program imigracyjny. Pojawiają się głosy o konieczności szybkiego uzy-

skania drogą imigracji 2 milionów osób, które przyjechałyby do Francji nie na pewien czas, lecz na stałe.

Przewiduje się więc odpowiednią politykę naturalizacyjną i asymilacyjną. Francuzom zależy na zatrzymaniu u siebie górników polskich. Mają też nadzieję na odpowiednio duży, choć reglamentowany napływ robotników włoskich. Przewidując trudność uzyskania odpowiedniej ilości rąk roboczych z krajów europejskich, rozpatrują możliwość większego zatrudnienia robotników kolo-riowych z kolonii francuskich.

## PLACÓWKA NAUKOWA

Wyludnianie się kraju i brak rąk do pracy zaciążyły do pewnego stopnia na demografii francuskiej jako nauce, a także i na życiu politycznym. Nic przeto dziwnego, że rozmach odbudowy i naprawy społeczeństwa francuskiego wyraził się też i we wzmożonej chęci pozytywnego rozwiązania problemu ludnościowego.

Dowodem tego jest stworzenie w kwietniu 1945 „Sekretariatu Generalnego dla Spraw Rodziny i Ludności” oraz powołanie do życia, osobnym dekretem gen. de Gaulle'a (z 24. X. 1945), „Narodowego Instytutu Badań Demograficznych” (Institut National d'Etudes Démographiques) przy ministerstwie zdrowia publicznego i populacji. Celem tego instytutu jest nie tylko prowadzenie badań naukowych, ale przede wszystkim uproduktywnianie już istniejących. Na jego czele stoi Robert Debré, członek francuskiej Akademii Medycznej i profesor medycyny uniwersytetu paryskiego. Na dziesięciu członków komitetu instytutu technicznego jest 2 profesorów medycyny, 3 statystyków, 4 profesorów wyższych uczelni oraz 1 polityk, specjalista w sprawach ludnościowych.

W pierwszym roku istnienia prace instytutu poszły w kierunku zagadnień takich jak: ciśnienie demograficzne, optimum ludnościowe na tle zniszczeń wojennych, śmiertelność dziecięca, starzenie się ludności i przedłużenie życia aktywnego (temat typowy dla Francji), potrzeby imigracyjne, problem asymilacji na przykładach obcych itp.

Organem instytutu jest kwartalnik „Population” (Paris VIII, 20 rue de la Baume).

Stanisław W. Berezowski

\*) Artykuł ukazał się w szwajcarskim tygodniku „Die Weltwoche” z dnia 23 sierpnia 1946 r.

# Wspomnienie o Piusie II

O Eneaszu Sylwiuszu Piccolomini, inaczej Piusie II, wiedzą nie tylko znawcy historii papieństwa. Potomek starej rodziny szlacheckiej, która z czasem zajęła stolec książęcy w Amalfi, we Włoszech, od kleryka-psalmisty dobił się papieskiego tronu, lecz sławę zyskał dzięki literackiemu talentowi, bo gdy zasiadł na Stolicy Piotrowej w 1458 roku, był już gwiazdą w świecie humanistów, autorem wielu pism treści historycznej, geograficznej i utworów retorycznych, kosmografem, poetą, a nade wszystko mistrzem w sztuce pisania listów. Głównie one były ulubioną lekturą współczesnych i późniejszych intelektualistów i wzorem dla wielu pisarzy.

Jedną z ostatnich publikacji przedwojennych, wydanych przez Polską Akademię Umiejętności (w „Rozprawach Wydziału Historyczno-filozoficznego”), pióra Ignacego Zarębskiego, omawia „Stosunki Eneasza Sylwiusza z Polską i Polakami” (Kraków, 1939). Książka została przecoczona z powodu wojny i okupacji.

Popularny autor XV wieku, ozdobiony przez cesarza wawrzynem (poeta laureatus), czytany przez pięknoduchów i statystów, taki niemal autorytet dla swych współczesnych, jak nieco później Erazm z Rotterdamu, przyczynił się wielce do rozszerzenia w Europie ujemnej opinii o Polakach. Nie żywił bowiem przyjaznych uczuć dla Polski. Jak typowy pochlebca z epoki humanizmu, usłużny i giętki, wpraszał się i wkupował w łaski możnych tego świata i adorował siłę. Brał stronę Krzyżaków przeciwko Polsce Długosz nie bez racji zarzucał mu przychylność dla teutońskiego zakonu i inspirację napaści na Polskę za zabór Prus. Znakomity Jan Ptaśnik ostro ocenił Eneasza.

O Polsce i Polakach pisał źle. W epigramacie „In Polonum” przedstawia ich jako kłamców i pijaków: „Polonus est tam leviter, ut bibit, mendax (Polak równie lekko kłamie, jak pije)”.

Nawiasem mówiąc sam ciągnął wino tego, a i innego rodzaju wstrzeźliwości nie przestrzegając nazbyt surowo, folgując raczej potrzebom grzesznego ciała. Najwyższy dygnitarz Kościoła jest m. i. autorem erotycznej noweli „Historia Euriali et Laurentiae”, której fragment w przekładzie tłumacza z XVI wieku, Chrystofa Goliana, brzmi:

**Śmiech bardzo osobliwy z ust  
slicznych wychodził,  
Który w skromności zbytku najmniej  
nie przechodził;  
Piersi, jako dwie jabłce, czerwono  
nadobne,  
Wenerze przeozdobnej na wszystkim  
podobne.**

Jeszcze jędrniej brzmiało to po łacinie, zwłaszcza w ustach duchownego:

„risus in ore suavis atque modestus, pectus amplum, papillae quasi duo Punicae poma ex utroque latere tumescebant, pruritumque palpantes movebant.”

Pociąg do wina nie przeszkadzał mu malować Polaków jako miłośników pijaństwa. Marcin Bielski przytacza w „Kronice Polskiej” taką opinię o Polakach papieża-humanisty: „Lud polski trzy postawy w obyczajach różnych przez dzień ukazuje, to jest rano nabożny, w obiad pijany, a wieczór mężny”.

W orszakach poselskich mógł poznawać Eneasza Sylwiusza, w latach swej dyplomatycznej kariery jako sekretarz cesarski, takich „rano nabożnych, w obiad pijanych, a wieczór mężnych” sarmatów i uznał ich za miarodajny typ Polaka. Tak np. książę mazowiecki Aleksander, rektor uniwersytetu krakowskiego, biskup trydencki, później patriarcha akwilejski i kardynał bazylijskiego soboru, zarobił sobie we Wiedniu uczucie na przydomek „pierwszorzędnego pijaka” (egregius bibulus), a Eneasza Sylwiusza zapisał o nim taką anegdotę:

„Gdy książę mazowiecki Aleksander, który pierwszorzędnym był pijakiem, zmarł w Wiedniu kanonicy kościoła św. Stefana odprawiali w trzydziestym dniu po jego zgonie uroczyste nabożeństwo za jego du-

szę. Wówczas to księdzu jednemu, który przyszedł ugasić pragnienie do winiarni, zdawało się, że widzi tam Aleksandra przechadzającego się między beczkami. Wraca więc do kościoła, a widząc modlących się współkapłanów, mówi do nich: „Co wy tu odprawiacie egzekwia nad Aleksandrem? On przecież w swej świątyni (winiarni) wesoło się bawi i pije, a wy tu umieracie z pragnienia”.

Jak na papieża, facecja jest dość frywolna.

Co prawda późniejszy Pius II miał osobliwe poglądy. Przychylał się do komunii pod obiema postaciami i był po stronie przeciwników celibatu. W każdym razie na niego powołuje się m. i. nasz Andrzej Frycz Modrzewski, wojujący z bezceństwem księży, a w XVII wieku również Aron Aleksander Olizarowski, profesor Akademii Wileńskiej.

Jako biskup Sieny zetknął się Eneasza Sylwiusz z Andrzejem Gałką, dziekanem Akademii krakowskiej. Gałka był wyznawcą Jana Wiktora. Było to w czasie, gdy profesorowie Akademii krakowskiej przodowali jeszcze w postępie i hołdowali nowinkom. Co prawda Gałce przyszło uciekać z Polski, w obawie przed stosem (ignem timens), z łaski Zbigniewa Oleśnickiego (1449). W Taborze, stolicy husytyzmu, odbyła się debata przyszłego papieża z heretykiem, który przyparł do muru swego przeciwnika retorycznym pytaniem: „Czy należy więcej służyć Bogu niż ludziom, Chrystusowi niż papieżowi, ewangelii niż dekretem?” Nadto nie omieszkał Gałka wypomnieć papieżycy na Piotrowej siedzibie. Eneasza zbijał oczywiście gorliwie heretyckie nauki Polaka, zapisał o nich wszakże, że „mają pozór prawdy, tak, że wielu zwiędnie mogą”.

Ortodoksyjna wiara nie była w duchu czasu. Na tle bujnego we Włoszech ówczesnych rozwoju życia gospodarczego krzewił się ruch umysłowy, a humanizm zakwitał już na dobre. Coraz liczniejsi mecenasi literatury i sztuki pochodzili spośród książąt, prałatów, patrycjuszów, wzbogaconych kupców i bankierów. Wznowione pisma Rzymian (i Greków) i renesans spadku po kulturze klasycznej poderwał i tak chwiejną równowagę i podstawy moralne przełomowego okresu. Rozwinięte gospodarstwo pieniężne i nagromadzenie kapitału kładło kres średniowieczu z jego ustrojem agrarnym, prohibicją w przemyśle i skrupowaniem myśli. Sektanci byli coraz częstszym zjawiskiem, a herezje, wciąż nowe, niepokoiły Kościół. Stos był coraz mniej skutecznym środkiem. Schorowany Kościół katolicki, mimo wysiłków na soborach, nie umiał zażegnać kryzysu. Papież prowadził się niedobrze, opłaty za odpuszczenie grzechów, odpusty i intrygantne jubileusze mnożyły się coraz bardziej i tylko kilka dziesiątków lat dzieliło Kościół od wystąpienia Marcina Lutera.

Na Śląsku, książę opolski Bolko V „rezydując w Głogowie, oddawał się rozkoszom i rozpucie, i do tego stopnia stracił rozum, iż twierdził, że nie ma piekła ni nieba, dusza zaś umiera razem z ciałem”. Tak pisał o nim Eneasza Sylwiusz, a przytwierdza Jan Długosz. Książęcy materialista i ateusz „do kościoła nigdy nie chodził, albo bardzo rzadko i wstrzymywał się od przyjmowania sakramentów, chyba że nadużywał sakramentów, gdy wypędziwszy niemą sobie żonę, brał inną, żeby zaś nikt nie mógł nazywać jej konkubina, wiązał się z nią uroczystym ślubem kościelnym”. Ów Bolko Bolesławowicz, gdy zmarł nareszcie po pełnym tak wielkich grzechów życiu, pochowany został w kolegiacie głogowskiej, „z której, zajmując jej dobra, wyrzucił kanoników”. To, że skonfiskował dobra duchowne było grzechem nie do darowania.

Lecz wróćmy wprost do Eneasza Sylwiusza i jego stosunku do Polaków. O Władysławie Warneńczyku pisał niedobrze, ku niemałej przykrości swego adoratora, kardynała Zbigniewa Oleśnickiego. Odbierał odeń niejedną raz upominki i dary, na które Włoch był łasy i wymieniał z nim korespondencję na wysokim literackim poziomie. Nie oszczędzał też Piccolomini Władysława Jagieł-

ły. Pogromca zakonu krzyżackiego nie mógł liczyć na względy ich przysięgłego obrońcy i oddanego przyjaciela. Maluje więc króla jako tchórzliwego wodza podczas bitwy pod Grunwaldem i gromi panów krakowskich, „którzy katolickiego władcę Wilhelma, księcia Austrii, sromotnie odepchnawszy od prawowitej małżonki, nie cofając się przed zbrodnią cudzołóstwa, niewiastę wzbraniającą się połączyli z Jagiełłą, człowiekiem dzikim” (nations Tartarus infidelis). Ale nadto przypina duchowny literat łątkę Jagielle. Z wielu stron kwestionowano prawość łoża Władysława i Władysława i Kazimierza, synów królewskich z młodą Sonki Holszańskiej, którzy przyszli na świat, gdy król-ojciec był już sędziwy, „królowa zaś raz po raz trzy razy zachodziła w ciążę”. Z uwagi na podeszły wiek królowa nie byłoby to zdaniem Eneasza możliwe, „nisi adiutorem habuerit”, — gdyby obywatel się bez „pomocnika”.

Piccolomini tak pisze o Litwie, oczywiście Jagiełły: „kobiety szlacheckiego pochodzenia mają publicznie i za zgodą mężów kochanków, którzy nazywają się tam pomocnikami małżeńskimi („matrimonii adiutores”). Dr Zarębski tak streszcza resztę ustępu, poświęconego w Eneaszuowej „De Europa” tej sensacyjnej sprawie:

„Pomocnicy ci, których ilość zależała od piastowanego stanowiska i sytuacji finansowej męża, żywni na jego koszt, zastępowali go na mocy dawnego zwyczaju w obowiązkach małżeńskich, jeśli je zaniedbywał z powodu choroby, dłuższej nieobecności lub jakiegokolwiek innej przyczyny. Mężom jednak nie wolno było mieć kochanek. Poza tym w stosunkach małżeńskich panowała wielka swoboda”.

Nie więcej w tym chyba prawdy niż w tym, co Eneasza Sylwiusz zanotował o cudownych drzewach, których owoce po zetknięciu się z wodą zamieniały się w ptaki, czyli, mówiąc językiem Marcina Bielskiego o „gęsiach drzewianych”, kędyś w Szkocji czy na Orkadach. („De Scotia et mirandis apud Orcades arboribus, suos fructus in aves mutantibus”). Lecz w tym przejawiała się żyłka sensacji u obdarzonego fantazją humanisty, albo też średniowieczna naiwność, acz Eneasza był mężem wybitnego umysłu, rozumem i wykształcenia. W pomówieniu natomiast, które rzuca na Jagiełłę i Zofię, należy widzieć przejaw niechęci i odgłosy politycznej kampanii, w której Włoch, raz na zawsze zwerbowany przez Niemców, uczestniczył z krzywdą i szkodą Polski, nie gardząc oszczerstwami szerzonymi z krzyżackiego Malborka.

Wyjątkowo tylko, niechęć, zanotował i przekazał informację niepośledniej dziś wartości: o Odrze, Wrocławiu i Śląsku. Wrocław „bardzo rozległe miasto, położone nad brzegiem Odry, ozdobione świetnie prywatnymi i publicznymi budowlami”. „Język ludu po większej części jest niemiecki, chociaż za Odrą przeważa język polski i z tej przyczyny nie bez słuszności niektórzy uważali, że w tym miejscu Odra stanowi granicę Germanii, chociaż rzeka ta, zwracając się ku północy, oblewa po obu brzegach germańskie plemiona”. („De Europa”). Pod koniec notatki o Śląsku pozostał wierny swej przyjaźni dla Niemiec i Niemców”.

„Niezbędny dla Polaków przychylny” — mówi o nim spokojny Długosz. Kanonik krakowski był skrupowany w stosunku do osoby Eneasza Sylwiusza de Piccolominibus, poza sprawą jego duchownego dostojenia, przez wspomnianą już przyjaźń dlań kardynała i księcia biskupa krakowskiego, mecenasa naszego dziejopisa, potężnego Zbigniewa z Oleśnicy. Ale nieznaną czytelnikowi napisał w egzemplarzu przemyskiego biskupa Andrzeja Krzyckiego, jednego z naszych pisarzy-humanistów, na norymberskim wydaniu listów Eneasza z roku 1486:

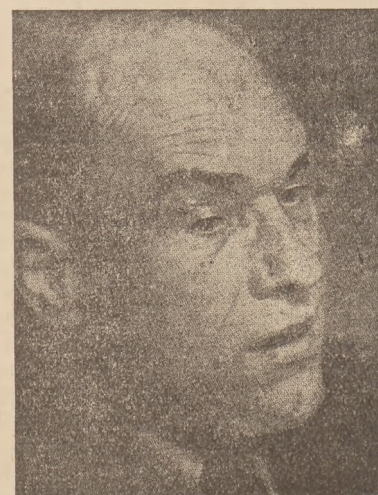
„Atosz tobie Card(inal) był... Ale wszak to z Niemcami trzymał przeciwko Polakom... Farbowanis lis”.

Nie on jeden wśród purpuratów i wtędy i później.

Józef Sieradzki

## SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA • CZYTELNIK •

JUŻ UKAZAŁY SIĘ NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH  
NOWOSCI



JAROSŁAW  
IWASZKIEWICZ

NOWA  
MIŁOŚĆ

I INNE OPOWIADANIA

STRON 239

ZŁ 250

JERZY  
PUTRAMENT

ŚWIĘTA  
KULO

OPOWIADANIA

STRON 175

ZŁ 170



LEOPOLD STAFF

WIERSZE  
WYBRANE

/ Z PORTRETEM POETY /

STRON 183

ZŁ 200



JERZY  
ANDRZEJEWSKI

NOC

OPOWIADANIA

STRON 220

ZŁ 200

WYD. DRUGIE / 25 TYSIĄC /

WOJEWÓDZKA  
NAGRODA ARTYSTYCZNA  
KRAKOWA  
1946



SEWERYNA  
SZMAGLEWSKA

DYMY  
NAD  
BIRKENAU

STRON 302

ZŁ 200

WYD. TRZECIE / 35 TYSIĄC /



JESZCZE O WRZEŚNIU

W Paryżu pojawił się pierwszy tom książki gen. Gamelin „Service. Les armées françaises de 1940”. Autor broni się w niej przed zarzutami, stawianymi mu w związku z katastrofą z r. 1940, w różnym czasie, lecz głównie podczas procesu w Riom. W nr. 21 „Wiadomości” książkę tę omawia Władysław Dziewanowski. W recenzji tej czytamy m. in.:

„Książka gen. Gamelin daje również i inne ciekawe informacje, zmuszające do gruntownej rewizji poglądów na kampanię polsko-niemiecką 1939 r. Podaje ona mianowicie za dużą dokładnością siły, którymi on, jako wódz naczelny sprzymierzonych, rozporządzał w chwili rozpoczęcia ofensywy niemieckiej 10 maja 1940. Siły te dotychczas były obliczane i ogłaszane tylko w przybliżeniu, teraz zostały wyliczone przez osobę najbardziej kompetentną. Zestawienie ich z siłami, którymi rozporządzała Polska 1 września 1939, nasuwa wcale ciekawe refleksje.

Na wiosnę 1940 Francja miała zmobilizowanych okragło 5 000 000 ludzi, z których w oddziałach rozporządzalnych było 2 776 000. Miała 125 dywizji, z tej liczby jednak można było użyć przeciw Niemcom tylko 101, gdyż reszta musiała pozostać w koloniach lub na froncie włoskim. Wymieniona cyfra zawiera i dwie polskie dywizje. Poza tym gen. Gamelin miał do rozporządzenia na froncie przeciwnieckim 11 dywizji brytyjskich, 22 dywizje belgijskie i wartość 10 dywizji holenderskich, czyli w rzeczywistości rozporządzał 144 dywizjami.

Czołgów, broni wówczas niemal decydującej, miał 3 107, w tej liczbie 2 507 francuskich i 600 brytyjskich. Stwierdza on przy tym, że Niemcy nie mieli typów technicznie równie dobrych jak francuskie czołgi B. I. (we wszystkich ich trzech odmianach) i że posiadane przez Niemców maszyny nie przewyższały francuskich Somua.

Pełnej cyfry samolotów nie podaje, zaznacza tylko, że aparatów myśliwskich było 740 (580 francuskich i 160 brytyjskich, stacjonowanych we Francji).

Gen. Gamelin nie wie dokładnie, ile dywizji niemieckich użyto przeciw Francji, oblicza jednak, że nie mogło ich być więcej niż 140. Ilość czołgów ocenia na ok. 5 000, a samolotów myśliwskich na 1 500. Rozporządzał więc pełną niewielką przewagą liczebną, doświadczeniem, zmniejszającymi znacznie front nieprzyjacielskiego natarcia, lotnictwem myśliwskim o połowę słabszym od niemieckiego, i ilością czołgów stanowiącą 3/5 sił pancernych nieprzyjaciela. Lotnictwa nurkowego nie posiadał wcale.

Polska, na początku kampanii wrześniowej, miała 39 dywizji piechoty (licząc w tym i niezupełnie zmobilizowane), 11 brygad kawalerii, 1 brygadę zmotoryzowaną, jednostki obrony narodowej i inne drobne oddziały, ogółem wartości ok. 45 dywizji. Czołgów miała ok. 90, nadto ok. 200 małych czołgów rozpoznawczych. Samolotów myśliwskich 280. Siły niemieckie, użyte przeciw Polsce, liczyły ok. 75 dywizji z 4 200 czołgami (nie licząc rozpoznawczych) i ok. 1 000 samolotów myśliwskich. Niemcy mieli także liczne nurkowce, których Polska nie posiadała wcale. Stosunek sił żywych przedstawiał się jak 3:2 na niekorzyść Polski, i to przy znacznej przewadze ogniowej Niemców. W czołgach Niemcy mieli przewagę 40-krotną, w lotnictwie myśliwskim 4-krotną.

W tych warunkach Polska walczyła 35 dni, a sprzymierzeni pod dowództwem najpierw gen. Gamelin, a później gen. Weygand, 36 dni, jeśli liczyć do chwili próby o rozejm, a 42 dni, licząc do chwili jego podpisania. Gdy uświadomimy sobie, że Polska została zaatakowana w 24 godziny po ogłoszeniu przez nią mobilizacji, a sprzymierzeni dopiero w 8 miesięcy później dochodzą do wniosku, że w owym pamiętnym wrześniu 1939 nie było znowu tak źle“.

**Marian Gotkiewicz.** Geografia dla I klasy szkół przemysłowych. Kraków, 1946; str. 142 i VIII tablic.

Podręcznik znanego geografów nauicyciela przynosi geografii fizyczną i gospodarczą ogólną, dostosowaną do programu i potrzeb szkół przemysłowych. W blisko sześćdziesięciu drobnych, wziętych i przejrzystych rozdziałkach, zakończonych ćwiczeniami, gęsto ilustrowanymi, podaje geograf podstawowe wiadomości, zwłaszcza te, które mogą się przydać przyszłemu hutnikowi. Nie chodzi nam tu o ocenę samego podręcznika, ale o podkreślenie znamiennego, bardzo radosnego zjawiska, że Ministerstwo Przemysłu samo popiera inicjatywę wydawniczą potrzebnych podręczników szkolnych, nie oglądając się na pomoc Ministerstwa Oświaty, nie mogącę podać ogromowi potrzeb szkół, a wydział szkolenia hutniczego ma dostateczną wiedzę i energię, aby dotrzeć do odpowiedniego fachowca, zmontować druk książki, wyposażyć ją w odpowiednią szatę graficzną. Na przyszłość prosimy jednak o staranniejzą korektę, bo w tym pierwszym wydaniu drażnią niepotrzebnie błędy zecerckie i niedopatrzona korektorskie.

**Mieczysław Kreutz.** Rozwój psychiczny młodzieży. Wydanie V. Wrocław, „Książnica-Atlas”, 1946; str. 71 i 1 nl.

Od wielu już lat uczeń zakładów kształcenia nauczycieli, a potem nauczyciel, przyzwyczaił się do posługiwania się jasnym i precyzyjnym wykładem prof. Kreutza przy uczeniu się rozwoju psychicznego młodzieży. Obecnie literatura podręcznikowa ma

już znacznie od tej książeczki obszerniejsze dzieła, pojawienie się jednak w piątym wydaniu starego przyjaciela powitają wszyscy z zadowoleniem, bo właśnie Kreutz daje minimum tego, co każdy inteligentny człowiek powinien wiedzieć o duszy dziecka i o samym sobie.

**Antoni Szczepkowski.** Nauczanie prac ręcznych w szkole powszechnej. I i II klasa. (Kraków). 1946; str. 96.

Wśród przedmiotów nauczania, które mają przygotować młodzież do czynnego życia społecznego, prace ręczne odgrywają poważną rolę. Naprzód usprawniają ręce, jako narzędzie różnorodnej czynności, potem uczą dokładności, poszanowania pracy, ułatwiają swobodne wypowiedzianie się dzieci w różnym materiale, poprzednio przez nie lekceważonym. Prof. Szczepkowski pokazuje przekonywująco, ile ładnych i pożytecznych przedmiotów można zrobić nie tylko z papieru, kartonu, czy pudełek, ale nawet z szyszek, kasztanów, czy makówek. Mniej doświadczeni nauczyciele klas najmłodszych znajdą w tej książeczce bardzo poszukiwaną pomoc, tym miłszą, że doradca zamiast szeroko się rozwodzić, co i jak zrobić, podaje szereg dokładnych rysunków, z których wyraźnie widać jak najlepiej wykonać np. korek czy patyczek do zmontowania najrozmaitszych zwierzków, pajaców, ozdób, samolotów i masek. Posługiwanie się tą książeczką przez nauczyciela zapewnia wiele zadowolenia i radości najmłodszym naszym wychowankom.

**Biblioteka Pedagogiczno-Dydaktyczna.** Nr 15. Stefan Bałey. Zarys

Wśród książek

psychologii w związku z rozwojem psychiki dziecka. Z 87 rycinami w tekście i 1 barwną tablicą. Wrocław, „Książnica-Atlas”, 1946; str. 424.

Profesor Stefan Szuman dał nam niedawno dobry podręcznik dla matek i wychowawczyń przedszkoli i domów dziecięcych, oraz dla nauczycieli i studentów, studiujących rozwój psychiczny dziecka pt. „Psychologia wychowawcza wieku dziecięcego“.

Obecnie drugi z naszych czołowych psychologów pedagogów ogłosił „Zarys”, który wprowadza czytelnika na teren psychologii ogólnej, a równocześnie zaznajamia z rozwojem psychiki ludzkiej. Podręcznik liczy na tych samych przede wszystkim odbiorców, co praca Szumana, może się jednak stać zajmującą lekturą również dla miłośników literatury, czy pisarzy, którym dokładna znajomość podstaw psychologii na pewno przyda się do zrozumienia, czy odtworzenia zjawisk psychicznych.

Książka Bałeya ma pięć rozdziałów. Pierwsze trzy — o zjawiskach psychicznych jako przedmiocie psychologii, o stopniach rozwoju psychicznego i głównych rodzajach zjawisk psychicznych, o rozwoju fizycznym dzieci i młodzieży — mają charakter wziętych wstępów do właściwego przedmiotu wykładu, który przynosi szczegółową analizę, podaną jasno i dokładnie, czynności psychicznych i ich rozwoju u dziecka. Podręcznik zamyka krótkie omówienie anormalnych zjawisk psychicznych. Liczne ilustracje i wykresy ułatwiają zrozumienie opisywanych zjawisk.

Stefan Papée

PLURALIS MAIESTATICUS

— Mamy syna —  
oznajmia ex cathedra profesor z teki w noweli Kadena-Bandrowskiego — i uczniowie nie wiedzą o co chodzi. Może to jakiś przykłąd „wyjątku” do tłumaczenia na grekę? Nie — w tej formie profesor oświadcza, że stał się ojcem.

Ale, jeśli znużeni uczniowie mogli sobie tłumaczyć owo pluralis jakb reprezentujące nie tylko „pana psora” lecz i panią psorową — to dzisiaj bez łaciny i wzorów ze starożytności retoryki nie zrozumieliby już, gdyby tak profesor uroczyście proklamował:

— Propagujemy zatem realizm. Kto propaguje jacyś „my” — profesor przemawia widocznie w imieniu wielu! Mało kto już ze starszych pisarzy używa tej formy, a nikt z młodszych, mających poczucie śmieszności stylistycznej, nie stroi się w ów majestacyjny hałszuk. Wdział go niedawno pewien krytyk i z powagą równą brakowi humoru broni „pluralis maiestaticus” jako formy... „skromniejszej”. Wmawia, że pluralis maiestaticus stosują powszechnie Francuzi.

Osobiwie to znawstwo francuszczyzny — ja nie spotkałem (przepraszam, będąc majestycznie skromniejszy: my nie spotkaliśmy!) we współczesnej krytyce francuskiej pisarza, który by się w ten sposób nadymał. Nigdzie, oczywiście, nie brak zeszlowiecznych dziwaków, chodzących dla powagi w jaśkółce i dętku na codzień, sądzę jednak, że ludzi pozabawionych wdzięku i pokrywających ten brak ociężałą powagą — mniej spotkać można właśnie we Francji. Francuzi pamiętają chyba lepiej niż my 257 maksymę de La Rochefoucauld, którą Boy tak tłumaczy: Powaga jest obrządkiem ciała, wymyślonym dla pokrycia braków ducha.

BAK O KASPROWICZU

Dwudziesta rocznica śmierci Kasprowiczu nie zaznaczyła się w naszej krytyce ani jednym żywym słowem. Nie napisano o poezji autora „Hymnów” niczego, co by nie było powtórzeniem patetycznej frazeologii młodopolskiej o „otchłaniach i głębiach metafizycznych”, o „obcowaniu poety z prąbłem wszechświata” i — oczywiście — o „miłości i śmierci”. Nikt ani słówkiem nie zaczął kłopotliwej a zasadniczej sprawy: sztuki poetyckiej Kasprowiczu, nikt nie zastanowił się, jakim artystą był gada na Harendzie.

Wojciech Bąk („Życie Literackie”, nr 16) pierwszy z wielbicieli poety przynajmniej, że gdyby ktoś chciał ocenić Kasprowiczu jako biegłego w sztuce poetyckiej artystę słowa — autorowi „Mojego świata” nie można by przyznać miana nie tylko wielkiego, ale nawet miernego poety. „W istocie język jego — pisze Bąk — jest chropawy, zdania często albo manierycznie powikłane, albo pozbawione wszelkiej ozdobności, rymy niewyszukane a nawet niedbale, rytm łamiący się, środki retoryczne banalne i ograne”. Szczególnie zaś razą w utworach Kasprowiczu „te miejsca i wrotory, w których sili się on na mistrzostwo formalne, na wirtuozerie. W tych właśnie ustępach najczęściej dają się zauważyć braki: sztuczności, niezręczności składni, chropowatości i kalektowno rytmu“.

A jednak mimo to iż Kasprowicz pisał mniej niż miernie wiersze, jest on — głosi Bąk — wielkim poetą. Dlaczego? „Obcując z jego twórczością, odczuwamy, że przenika nas ten sam prąd, który spotykamy u proroków izraelskich, u wielkich indyjskich poetów, u Dantego, u Mickiewicza, u Słowackiego“.

Bąk nie wyjawia, na jakiej podstawie doszedł do wniosku, że to jest ten sam „prąd”, który — jak powiada — „spotykamy” u genialnych i to tak różnorodnych artystów. Bąk wbrew miernym wierszom Kasprowiczu odczuwa „prąd” i basta. Oburzylby się zapewne, gdyby zażądano od niego dowodów wielkości Kasprowiczu. Czym jest ów „prąd”, owa poezja bytułowa w miernych wierszach (a może poza, może ponad wierszami?) — Bąk objaśnia dalej tak: „jest ona jedyną z najistotniejszych elementów rzeczywistości, tak istotna jak chleb i woda” i, oczywiście, jest ona jak — para nieodowna dla każdego bombasty — „miłość i śmierć“.

Doprawdy, pora już, żeby nowa krytyka polska, wolna od symbolicznego belkotu i trąb pustostlowia, podjęła próbę obiektywnej oceny dzieła Jana Kasprowiczu. Może udałoby się ustalić jego miejsce w hierarchii poetyckiej? Czy Kasprowiczu postawić — jak chce Bąk — tuż obok Dantego i proroków, czy raczej — jak przypuszczają inni — szukać dla niego miejsca gdzieś między Przybyszewskim a Rydlem.

Józef Sieradzki

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH\*)

Ankieta »Odrodzenia«

**Bolesław Jacek Frühling:** Prócz dziennikarstwa zajmowałem się przed wojną przekładami z dziedziny beletrystyki i dramaturgii. Pod wpływem wojny i okupacji, po utracie najbliższej istoty, która zapełniała poddasza powstania warszawskiego, napisałem pierwszy tom powieści „Klara i Andrzej”. Wier pracy dziennikarskiej w Krakowie pochłonięto mnie do tego stopnia, że na razie skończyło się na tym pierwszym tomie, który jest czymś w rodzaju „pamiętnika przedwojennego, usiłując obok przytoczonego osobistego, ukazać, w jaki sposób przedwojenna Polska, niezależnie od układu sił międzynarodowych, szła nieuchronnie ku klęsce, patrolując wszystkiemu, co faszystowskie. Na tej drodze nieszczęścia i hańby stacją cierpienową najbardziej tragiczną było — wedle mojej oceny — zamordowanie prezydenta Narutowicza.

Czy uda mi się napisać tom drugi, a może i trzeci, poświęcony Warszawie podczas okupacji i powstania, nie wiem. Stały pobyt za granicą (pracuję od kilku miesięcy w Szwajcarii) daje wprawdzie idealne warunki do pisania, ale i tam tzw. kontakty prasowe, które należą do moich

obowiązków, nie zawsze pozwalają mi się skupić. Pierwszy tom „Klary i Andrzeja” zawędrował do Ameryki. Mam bowiem wrażenie, że właśnie tamta półkula powinna być poza relacjami reportażowo-publistycznymi mieć jakiś bardziej istotny obraz Polski i Polaków. A przede wszystkim obraz okupacji i powstania. Gdyby obraz taki istniał, może panowie burmistrz Nowego Jorku nie gościliby z taką pompą Borów-Komorowskich.

**Alina Iwańska:** Mam przygotowany do druku tom nowel pt. „Biuro Kontroli Ruchu” (tematyka wojenna) oraz tomik wierszy o niestabilnym jeszcze tytule, przypuszczalnie: „O nas samych“.

W ciągu tego roku będę pracować nad dłuższą rzeczą filozoficzną (z pogranicza prakseologii, etyki, socjologii) pt. „Dziele i perspektywy postępu“

**Czesław Schabowski:** Opowiadanie „Szarotki” (drukowane w maju br. we „Wsi”) obecnie z ilustracjami Daszewskiego wydaje „Książka”, a powieść „Tamto” idąc jeszcze w odcinkach w „Zielonym Sztandarze”, zakupił księgarz „Stanisław Jamliński” w Łodzi i powieść tę ma w tym roku wydać.

Mając dowody, że mogą się w literaturze

przeprzeć, obecnie kładę nacisk raczej na intensywne samodoskonalanie się w tej dziedzinie, niżeli na twórczość, aby talent mój rozwinąć a nie zmarnować.

**Andrzej Wojtkowski:** Z końcem bieżącego roku ukaze się obszerniejsza praca moja pt.: „Metody walki polsko-niemieckiej na Ziemiach Zachodnich w rozwoju historycznym”. Wyda ją Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Obecnie pracuję nad rozszerzeniem wykładów o cechach charakterystycznych kultury polskiej, wygłoszonych ubiegłej zimy w cyklu wykładów, które zorganizował lubelski oddział Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik“.

Zamierzam wykonać „Bibliografię historii Wielkopolski”, obliczoną na trzy tomy, każdy po 500 stron. Przed wojną tom I ukazał się w całości, a z tomu II połowa, w tym bibliografia historyczna m. Poznania na 140 przeszło stronach drobnego druku. Ponieważ nieopracowane jeszcze materiały kartkowe spaliły się razem z poznańskim Archiwum Państwowym, przeto trzeba będzie raz jeszcze przerobić odnośne wydawnictwa źródłowe i opracowania.

Osiem dni

**Mjr. Henryk Baczo.** Osiem dni na lewym brzegu. (Warszawa 15—22 września 1944 r.). Warszawa, Główny Zarząd Polityczny. Wojska Polskiego, 1946; str. 60 i 15 ilustr.

Zołnierze Armii Krajowej w powstańczej Warszawie na lewym brzegu Wisły i ludność cywilna z utęsknieniem czekali na przyświecie Armii Czerwonej, a samo dowództwo AK licząc się z nastrojami, musiało karmić opinię publiczną zmyślnymi historiami o podjętych jakoby próbach nawiązania łączności z armią marszałka Rokossowskiego. Tak myśleli żołnierze i Armii, na praskim brzegu — opowiada koronny świadek, uczestnik walk o Warszawę w owych dniach:

„Szkoda, że nie porozumieli się z nami — mówi chorąży Orłowski. — Tak, bardzo źle, że się nie porozumieli, ale wszystko jedno: tam giną Polacy. A walczą, jak czytamy w komunikacie, po bohaterku, więc trzeba im pomóc” — mówi ppor. Błoński.

„Ale jak pomóc? Generał brygady Piotr Jajroszewicz, zastępca dowódcy i Armii w okresie walk o Warszawę, tak przedstawia sytuację: I Armia zmęczona, osłabiona poważnymi stratami w ludziach i sprzęcie. Czwarła dywizja piechoty w Lublinie, święto sformowana dywizja kawalerii, dopiero szkolona, nie przedstawiały jeszcze pełnej wartości bojowej. „Mielśmy więc faktycznie 3 dywizje piechoty, z których pierwsza, po zdobyciu Pragi, musiała zaliczyć rany“.

przeprowadzić akcję zwiadowczą, sformować rzekę, utworzyć przyczółki dla nawiązania kontaktu z powstańcami, kolejno zaś wprowadzić do akcji całą Armię. Zgromadzone więc duża ilość artylerii własnej i radzieckiej i pułk amfibij, a, pułki piechoty, 8 i 9, rozpoczęły forsowanie Wisły na Czerniakowie, gdy jednocześnie 2 dywizja piechoty forsowała rzekę na północ od Starego Miasta, zlikwidując łączności z powstańcami na Żoliborzu.

Operacja ta, nie poparta przez Bora-Komorowskiego, trwała 8 dni i zakończyła się niepowodzeniem i wielkimi stratami. Ze dowództwo powstańcze powinno było za wszelką cenę utrzymać lewy brzeg Wisły — jest truizmem. „Przecież każdy głupiec rozumie, że utrzymanie przyczółka jest ważniejsze, niż wszystkie Kruce i Hoze! Przecież powinni całą siłę rzucić tutaj, trzymać ten przyczółek zębami! Nawet prosty żołnierz powstania pojmuwał rozmiary nieszczęścia, gdy padał Powiśle. Od tej chwili los stolicy, jej mieszkańców i powstańczej armii był przesądzony“.

Baczo wspomina owe dramatyczne 8 dni, gdy żołnierze Dywizji Kościuszkowskiej znaleźli się na lewym brzegu i trwali tam, opłaczając improwizowaną próbę nienastania pomocy miastu i jego mieszkańcom ofiarą krwi i życia. „Zasadniczym celem jest — wyjaśniał oficerom i żołnierzom por. Kolanko — rozszerzenie przyczółka. Równocześnie mamy pomóc ewakuacji ludności cywilnej, przede wszystkim kobietom, dziećmi i rannym powstańcom“.

Istotnie, co noc odpływały z Solca łodzie z rannymi, kobietami i dziećmi. „Na 5 pontonów tylko jeden docierał do przyczółka, reszta szła na dno Wisły“. Z jaką siłą w bezpretensjonalnym opowiadaniu opisuje Baczo przeżycia swoje i żołnierzy, którzy brali udział w tej akcji! Maluje obraz walki o dom 5/7 na ulicy Idzikowskiego, na rogu Zagórnej, reducte czerniakowskiego przyczółka. Śmierć chorążego Kunysza, „ruskiego Polaka“, jednego z owych wyszadzanych „popów”, który „z Leningradu przyszedł na lewy brzeg Wisły, by tu oddać swoje młode życie za Warszawę“. Jako obserwator kierujący ogniem naszej artylerii, nadal ostatnie słowa: „Bijcie we mnie! Do domu, gdzie jestem, wdarli się Niemcy. Sa o piętro wyżej. Ognia, ognia koleczy!“ I punkt obserwacyjny zamknął na zawsze. Wspomina chorążego Huberta, który stracił

ciwszy wszystkich kanonierów z obsługi swego działka na Zagórnej sam był ładowniczym, celowniczym i dowódcą, aż padł koło swojej armaty. Mariana Solarzkiego, syna łódzkiego robotnika, co nie zaważał się poskoczyć z pomocą rannej łączniczce z AK, by wynieść ją spod ostrzału i przypiąć to życiem. „A teraz krew jego, oficera politycznego, zmieszana się z krwią łączniczki z Armii Krajowej“. Starszego lekarza pułku, kapitana Marię Pomper, która zginęła na posterunku, trafiona kulą niemieckiego snajpera. Ppor. Lucynę Herz, która zmarła po amputacji nóg i kilku tygodniach męczarni w szpitalu. Podporucznika Janinę Błaszczak, 20-letnią dziewczynę, dowódcę kompanii, „trzejście moździerzy“.

Najwymowniejsza ze wszystkich, co można powiedzieć o wspólnej walce przeciw uciskowi i o wyzwolenie, jest scena w piwnicy domu, w której dowódcy oddziału przybyłego z Pragi, zesłali się na naradę z dowódcami powstańców. „Jest ich trzech. Major Blec — dowódca oddziału AK, porucznik Stanisław, dowódca Armii Ludowej na przyczółku i kpt. Motyl, zastępca dowódcy AK. Kolanko, chociaż ranny, nie przerywa pracy“.

Tak było tam, gdzie walczono. Takie same nastroje panowały w masach. Zrzuty pochodziły tylko od radzieckich „kukuruzników”, pomoc z Londynu okazała się, po kosztownych i nieudanych próbach, niepodobieństwem.

Lecz Bór-Komorowski myślał inaczej. W tym dniu do Rosjan dowództwo AK nie tylko zlekceważyło sprawę porozumienia się z dowództwem nadciągającej armii mars. Rokossowskiego, zanim powzięto decyzję o powstaniu, ale w ogóle można poważnie mówić o planie strategicznym — Bór-Komorowski wybrał raczej drogę na zachód, przez druty jenieckie obóz niż współdziałanie z Armią Czerwoną i pułkami Kościuszkowców.

Książeczka Baczi napisana została z okazji drugiej rocznicy powstania warszawskiego, lecz niejedno w niej ma wartość trwałą. Omawiana w książeczce sprawa „8 dni na lewym brzegu” skupiła na sobie uwagę badaczy i historyków sierpniowego powstania jako jedna z najwazniejszych, doniosłych nie tylko przez ofiarę krwi. Autentyczne świadectwo uczestnika desantu na lewy brzeg rzeka światła na wojskową i polityczną stronę warszawskiego porwy.

## Szkola krytyków

## Pocztą, której nie ma

Codziennie, kiedy na biurka redakcyjne pada pocztą z rąk listonosza, w redaktorach pism literackich budzi się ta sama, już bardzo onieśmielona nadzieja. Bezpośrednio znam uczucia tylko jednego z nich, ale przypuszczam, że są to uczucia im wszystkim wspólne. Nadzieja jest onieśmielona, bo doświadczenie jej mówi, że nie będzie, jak nie było przed tygodniem, miesiącem, trzema miesiącami. Czego nie będzie?

Otwieramy listy. Wiersze, prośba o ocenę, prośba o druk, fragment powieści, reportaż, opowiadanie, urywek nieokreślonej prozy, coś tam z poematu, sprostowanie, fragment powieści, opowiadanie, liryki, prośba o druk. Koszowi redakcyjnemu wyrastają nagle łapki jak stonodze, cichutko podchodzi i zerka na swój pusty brzuszek: — jeść, jeść...

Nie zdarzyło mi się nigdy, powiada redaktor, którego uczucia i doświadczenia znam bezpośrednio, ażeby z rozdarłej koperty wysunęła się recenzja, próba oceny, próba krytyki. Taka niezamówiona, gdzieś z Niemodlina, Białegostoku. Bo wiersze stamtąd przychodzą, chociaż to podobno pustkowie. Nie zdarzyło mi się od roku i wiem, że tej pocztą nie będzie, chociaż na nią czekam i oddam kilo liryki za gram dobrej krytyki. Żart na bok. Pocztą, której nie ma, jest najbardziej niepokojącym brakiem obecnego życia literackiego.

Sprawą powszechnie wiadomą są straty polskiej krytyki literackiej w ciągu wojny. Nie będziemy jednak zjawiska, o którym mowa, sprowadzać tylko do tego powodu. Dokonała się bowiem, bo o tym mówi nieobecna pocztą, strata trudniejsza do stwierdzenia aniżeli utracenie a wyrobione już pióro krytyczne. Rozdeptane zostały jakieś zarodki krytyki, jakieś korzonki wiodące od twórczości bezpośredniej do jej przetworzenia krytycznego. Zarodki, korzonki, potrzeba krytyki, nazwijcie, jak wolicie. Nic nie uschodzą. Przy doskonałym urodzaju na prozaików, jakim takim na poetów, posucha na krytyków. Dużo tych nowych nazwisk? Proszę, słucham. Prawda, jak niewielu?

„Każdy autor powinien być wrażliwy na krytykę, długo się nad nią zastanawiać i wyciągać z niej wnioski... Są, jak mi się wydaje, w tej chwili szczególne warunki, które sprawiają, że odpowiedzialność za ustawienie głosu polskiej literatury spada na równi na krytyków i autorów. Trudno, w pojedynkę nie podnosi się ciężkiego, żelaznego bloku. Z pewną obawą należy dlatego patrzeć na brak krytyki literackiej w Polsce i na to szare miejsce, jakie w tygodnikach zajmują recenzje z książek i teatru. I to w okresie, kiedy są, jak powiedziałem, warunki, aby autorzy liczyli się z krytykami, a krytycy z autorami”.

Tego nie pisze krytyk zalecający swoje fachowe usługi. Píše to z Nowego Jorku Czesław Miłosz. Wybicie sobie bowiem z głowy szkolarskie przesady, by nowe prądy literackie wyskakiwały spontanicznie z tzw. ducha czasu. Są one zawsze wspólnym dziełem twórców i krytyków. Prądy najbardziej spontaniczne, najbardziej irracjonalne — chociażby romantyzm. Wspomnijcie rolę Schległów w Niemczech, Brodzińskiego i Mochnackiego w Polsce. Mickiewicz rzucił paszkwil na „krytyków i recenzentów warszawskich”, bo sam był lepszym od nich krytykiem. Tylko żli i skwaszeni pisarze, których nikt nie „docenił”, czyli nie potwierdził ich megalomanii, obchodzą się bez krytyki. Najbardziej obchodzą się grafomani. Naturalnie z pełną wzajemnością — krytyka obchodzi się bez ich istnienia. A jeśli ktoś pośa przykład Norwida wymierzającą po przeciw krytykom, niech pamięta, że przykład taki właśnie za nimi przemawia — brak czujących, sumiennych samotyków był głównym powodem samotności i niezrozumienia tego poety.

To do was skierowane, nadawcy pocztą, której nie ma. A równocześnie — Ale o tym za tydzień.

kjm

## DEMOKRYT I HERAKLIT

Do redaktora „Odrodzenia”

W numerze 35 (92) „Odrodzenia” z dnia 1 września 1946 r. Wacław Kubański („Pod znakiem epiki”) w interesujących uwagach o „biologizmie”, jako podstawie „epickiej filozofii”, o łożeniu biologizmu ku mistyzyzmowi przytacza dystych Anioła Słazaka, który wydaje mu się doskonałą ilustracją tej filozofii, „uznającej równą wartość we wszystkich przejawach bytu”. Dystych ten brzmi:

Fürwahr, wer diese Welt recht nimmt  
Augenschein,  
Muss bald Democritus, bald Heraklitus sein.

Według autora artykułu, Anioł Słazak zestawia tu dwie interpretacje filozoficzne świata. „Nieokreśloność, rozmałość i bogactwo zjawisk oddaje poeta-mystyk przez zaznaczenie sprzeczności postaw (tak zapewne czytać należy zamiast wydrukowanego „podstaw”) filozoficznych, jakie narzuca życie. Na paradoksy zjawisk odpowiada paradoksem teoriiopoznawczym”.

Nie sądzę, aby można było wkładać tak skomplikowaną treść filozoficzną w ten aforyzm siedemnastowiecznego poety. Zdaniem moim, sprawa przedstawia się znacznie prościej.

Nie wiemy dobrze, jak to się stało (i nie w tym dziwnego, skoro nie posiadamy dzieł obu filozofów), ale już w późniejszej starożytności dla ogółu czytającej publiczności Demokryt i Heraklit stali się przede wszystkim parą kontrastową, jako „filozof śmiejący się” i „filozof płaczący”: w jednym zjawiska tego świata budzą śmiech, drugi nad nimi płacze. W takim charakterze występują oni już u Horacego („Listy”, II 1, 194 — tu tylko śmiejący się Demokryt), a potem u Seneki („De tranquillitate animi”, 15, 2), Juwenalisa (Satyra X 29—34), Lukiana („Licytacja żywotów” 13—14, „O nabożeństwach” 15, „Śmierć Perdigrimusa” 7) i innych. W takiej też postaci przeszli oni do Europy nowożytnej („Wszystki płacze, wszyscy lzy Heraklitowe” Kochanowskiego). Anioł Słazak chciał powziąć tylko tyle, że kto się uważnie przygląda temu światu, ten na przemian śmiać się musi i płakać.

Stefan Srebrny (Toruń)

## W KALWARII ZEBRZYDOWSKIEJ

Do redaktora „Odrodzenia”.

Istnieje pewien obraz. Bohomaz. Ale stary. Wisiał w pewnym słynnym na cały kraj klasztorze, dokąd pielgrzymują tysiące wiernych. Po klasztorze oprowadzają bractwiskowicie, zwracając uwagę na co ciekawsze obiekty. Największą sensacją wzbudza ów spatynowany, ale jeszcze jary w kolorach malunek. Wrażenia widzów są wstrząsające, kobiety mdleją, mężczyźni pomstują i zaciskają pięści. Albowiem (uwaga!) obraz ów przedstawia scenę okropnego mordu rytualnego — czterech brodatych Żydów z nożami w rękach nakuwa małą, nagą, katoliczką dziewczynkę, która obficie broczy krwią.

O istnieniu tego obrazu i jego honorowym miejscu w klasztorze wiadomo powszechnie. Osobiście stwierdziłem ten stan rzeczy w czasie okupacji, gdy malowidło stanowiło pożądaną ilustrację do broszurek na temat mordu rytualnego, wydawanych przez „Propagandaamt”. Miałem jednak nadzieję, że w nowej, rozumniejszej Polsce ojcowie orientują się na czas i obraz wyrzucą na śmietnik, albo przynajmniej zachowają do swojej ściśle prywatnej kolekcji. Tak się nie stało. Parokrotnie, ostatnio na wiosnę br., informowano mnie, że obraz wisiał w klasztorze, a poczesnym miejscu i że przedsięwzięcie jakoby interwencji nie odniosło skutku. Później zapomniałem o całej sprawie, sądziłem, że wolno mi zbywać wzruszeniem ramion tragiczną bzdurę, na którą, ludzkiem się, nikt o zdrowych zmysłach złapać się nie da. Kielec, w których 41 ludzi poniosło okrutną śmierć w imię odwetu, za „mordowanie naszych dzieci” udowodniły jak bardzo się myliłem, jak bardzo myliłymi się wszyscy. Zwracam się zatem pod adresem władz administracyjnych zapytaniem, czy wpłynęły na władze klasztorne, by te usunęły inkriminowany obraz.

P. S. Dla informacji dodaję, że ojcowie, o których mowa, to oo. Bernardyni, a klasztor obrazem synagogi do klasztor w Kalwarii Zbrzydowskiej w woj. krakowskim, słynny z odpustów, pielgrzymów i handlu dewocjonaliami na majdanie przedklasztornym.

J. A. Szczepański (Kraków)

## OSWADCZENIE

Do redaktora „Odrodzenia”

W związku z zapowiedzianym długometrażowym filmem „Dwie godziny” stwierdzam, iż treść i charakter gatunkowy scenariusza zostały przez realizatorów tak zmienione, że (nie przesądzając wartości przyszłego filmu) przyszedłoby być zwrócić się do dyrekcji przedsiębiorstwa państwowego „Film Polski” w Łodzi o wycofanie mego nazwiska jako autorki pomysłu i współautorki scenariusza i wycofanie mego tytułu „Dwie godziny”. To krótkie wyjaśnienie winna jestem moim wieloletnim przyjaciółkom-czytelnicom i dlatego proszę inne pisma o jego przedruk.

Ewa Szelburg-Zarembina (Łódź)

## SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia”

Do listu mego w sprawie filmu „2x2=4” w numerze 94 „Odrodzenia” zakradło się niedopatrznie, które chciałyby sprostować. Słowa szkolidliwości „w naszych warunkach” dotyczą cytatu z artykułu p. Bossaka w numerze 31 „Kuznicy”, w którym jest mowa o tym, że „w naszych warunkach wyświeblanie tego filmu może przynieść tylko szkodę”. Cały cytat zastąpiłem już po napisaniu swego listu częściowo równobrzmiącym cytatem z artykułu p. Bossaka w numerze 2 „Film” (w którym jednak nie było już słów o szkolidliwości w naszych warunkach), nie zauważywszy, że należy również zmienić odpowiednio zdanie listu, nawiązujące do tego zwrotu.

Mieczysław Chojnowski (Kraków)

## POŁOWA NAWIASU

Do redaktora „Odrodzenia”

Bardzo tanim sposobem nastawiało się ignorancie: przez zamknięcie nawiasu później niż należało, w recenzji książeczki Stanisława Zajackowskiego o Krzyżakach („Odrodzenie” nr 36). Wynika stąd, że arcybiskup Janisław i biskup kujawski Gerward byli duchownymi zakonnymi. Gorsze od sprawy ignorancji autora jest nieporozumienie i cytelnika.

Proszę tedy o powtórzenie zdania, które powinno brzmieć:

„Popierający szczerze narodowy program polityczny królów polskich polscy duchowni (nota bene świeccy, bo zakonni byli wobec tej sprawy obojętni lub sprzyjali Krzyżakom), jak np. arcybiskup gnieźnieński Janisław lub biskup kujawski Gerward — niewiele mogli zdziałać”.

Józef Sieradzki (Kraków)

## TYLKO DLA BOGATYCH

Podręczników drukowanych przed wojną, a dziś często używanych w gimnazjach, nie można nabyć w księgarniach i antykwariatach. Gięda na nie mieści się w Krakowie na ulicach Szewskiej i Szczepańskiej, w bramach i sieniach starych domów.

Ceny są wysrubowane, właściwie zaś cen nie ma, gdyż przy małej podaży a wielkim popycie określa je fantazja sprzedawców, bardzo często uczniów. Szczęśliwymi właścicielami starych egzemplarzy robią intratne transakcje.

Za podręcznik do nauki języka polskiego na kl. IV, Balickiego i Maykowskiego, żądają 1 500 zł, za każdy z tomów historii Dąbrowskiego po 600 zł, historii Wincentego Zakrzewskiego po 400 zł; za podręcznik fizyki na kl. IV, Malca i Wernera, 800 zł, algebry Banacha-Stożka-Sierpińskiego 200 zł, geometrii Łomnickiego 200 zł, geografii Pawłowskiego lub Chałubińskiej-Januszewskiego po 600 złotych.

Za podręcznik fizyki i czytanek polską musi uczeń kl. IV zapłacić około 2 500 zł, uczeń kl. II za komplet podręczników płaci 5—6 tysięcy złotych.

Refleksje przechodnia, który zatrzyma się na chwilę przy kramie z podręcznikami lub opodal gromadki handlujących uczniami, nie są wesołe.

## PRODUKTYWIZACJA ŻYDÓW

Z inicjatywy wojewódzkiego komitetu Żydów polskich w Szczecinie osiedliła się grupa 320 Żydów rolników w dołach państwowych, w majątku Chlebowo, powiat Starogród, w odległości 40 km od Szczecina. Inna grupa rolników żydowskich osiedliła się w powiecie Koszowskim.

Wydział produktywizacji zakłada nadto spółdzielnię pracy (szewców, krawców, piekarzy, malarzy, szczecińskich fryzjerów), udziela im długoterminowych pożyczek, zaopatruje w narzędzia pracy itd.

(Źródło: „Tygodnik Informacyjny”, organ wojewódzkiego komitetu Żydów polskich w Szczecinie, 1946, rok 1, nr 1).

js

## LELEWEL A CZUKOWSKI

Cóż może łączyć zeszlorocznego historyka polskiego z współczesnym rosyjskim pisarzem dla dzieci? Nic. A jednak Wiktor Weintraub w londyńskich „Wiadomościach” (nr 21) odkrył, że „Czytelnik” wydał książkę Chrzanowskiego o Lelewelu jako rewanż za wydanie „w nakładzie jerozolimskiej placówki ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego” wierszy Czulkowskiego w polskim przekładzie. „Londyn” sowieckiego poe — no to Borejsza „Lelewela” mimo jego „akcentów antyrosyjskich”. Teraz rozumiemy wszystko: chytry Borejsza wydaje Żeromskiego, Mickiewicza i innych pisarzy o rozmaitych „akcentach” w nadziei, że rewanżując się londyńczykowi wydadzą straszliwych pisarzy, sięjących sowieckie miazmaty: Andrzejewskiego, Breżę, Dąbrowską, Dygata itd. — aż do Żukrowskiego.

## EUROPA?

Czytałem powieść — rękę, obejmującą dzieje trzech pokoleń francuskiej rodziny alzackiej. Szczęśliwe, patriarchalne życie rodzinne zakłóca wojna, zakończona zaborem kraju przez Niemcy. Nastają lata ucisku politycznego i narodowego, słabsze jednostki zalamują się, służą lojalnie nowemu panu, obójtniej narodowo. Tradycyjne życie rodzinne zakłóca wojna, zakończona odzyskaniem kraju przez Francję. Nastaje okres politycznych i społecznych przemian, światła i cieni czasów skomplikowanych i trudnych, starcie dawności z postępem. Uparcie spokojne życie rodzinne zakłóca wojna, zakończona przyłączeniem kraju do Niemiec. Pod pretekstem i terrorem słabsze jednostki zalamują się i wynaradawiają. Próbe podtrzymania życia prywatnego zakłóca daleka wojna, która dociera i do Alzacji. Na odzyskaną wolność padają światła i cienie czasów burzliwych i trudnych. Odbudowane życie rodzinne — — —

Jaszcz

Jaszcz

## PRZEGLĄD PRASY

U progu sezonu teatralnego, przed uroczystymi premierami, gdy studia teatralne wznowiają swoją pracę, gdy w Łodzi otwiera podwoje Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna, a dyrekcje i kierownictwa literackie występują przed prasą z najbardziej ponętnymi obietnicami — pora, by odnotować nowe pozycje teatrologiczne, zaczynając z urzędu od pism poświęconych specjalnie teatrowi.

Oto 3 numer „Listów z Teatru”, miesięcznika wydawanego z inicjatywy krakowskich czynników teatralnych. Ruchliwy redaktor starał się o artykuły krótkie a treściwe. Wymienić wypada Leopolda Staffa notatkę „Ze wspomnień o Wyspiańskim”, informacje K. Frycza z dziejów wystawiania „Świętoszka”, korespondencję J. Zagórskiego o literaturze i teatrze czeskim. Zaletą sprawozdawczej ścisłości odznacza się relacja W. Goreckiego o „Podziemnych teatrach w Krakowie”, bogactwem szczegółów wyróżnia się obszerna kronika. Liczne ilustracje ozdabiają numer, szkoda, że ich dobór jest przypadkowy i jednostronny. W notatkach — słuszne zwrócenie uwagi na potrzebę stworzenia „Biblioteki Utworów Dramatycznych” oraz przypomnienie, że pisarze sceniczni posiadają u nas około setki sztuk, spośród których mogą wybierać dyrekcje teatralne. Trochę niepokojący dodatek, że „przede wszystkim zasługują na uwagę teatr poetycki”, wolno uważać za wyrażenie indywidualnych upodobań.

W związku z poruszoną w „Listach” zagadnieniem nieogłoszenia drukiem większości utworów teatralnych: nie jest tak źle. Właśnie „Znak” (nr 2) rozpoczął drukowanie „Meza doskonałego” Zawieyskiego, a „Tęcza” (nr 7—8) ogłosiła „Święto Winkelrida”, satyryczne widowisko J. Andrzejewskiego i J. Zagórskiego.

Wydawany przez departament teatrów Ministerstwa Kultury i Sztuki „Teatr” nie zdobył się jeszcze w sierpniu na opublikowanie materiałów z czerwcowych obrad Rady Teatralnej: jak na miesięcznik, mający ambicje (i techniczne możliwości) stania się czołowym pismem teatrologicznym w Polsce — opieszłość trochę zbyt daleko posunięta. „Teatr” ograniczył się, w związku z obradami Rady, jedynie do ogłoszenia krótkiego wstępnego referatu wicemin. Kruczkowskiego. Wiele miejsca po-

możliwości praktycznych. Tezy Leona Schillera zasięgają na to, by stać się wytycznymi dalszej pracy teatralnej.

Pożyteczną dyskusję o teatrze ludowym podjęła „Wiś” (nr 33). Tradycyjnemu stanowisku Z. Siedleckiego, że źródłem sztuki ludowych jest „bezcenny skarb ludowych pieśni, legend, baśni etc.” i że pisarzem ludowym „nie można narzucać wytyczności; intuicyjnie muszą oni wyczuć, czego lud potrzebuje i co należy mu dać” — słusznie przeciwstawia J. A. Król konieczność stworzenia „na gwałt repertuaru współczesnego, zawierającego problem postępu gospodarczego, społecznego, obywatelstwa i cywilizacyjnego”. Droga doń nie wiedzie poprzez wzory i jednostronną apologię kultury ludowej w duchu Niecki czy zwłaszcza Solarzowej, lecz przez „bardzo świadome, bardzo intelektualizowane na założeniu pisarstwo”. Z. Kalużyński obliczał ilość dramatycznych zespołów ludowych w Polsce przedwojennej na około sto tysięcy (teatrów zawodowych jest obecnie 33): już ta jedna pozycja statystyczna określa doniosłość problemu.

Diagnozą spraw teatralnych zajmują się też E. Csato w „Tygodniku”. Wydaje mu się, że kryzysu teatru nie da się uleczyć bez „wzniesienia nowego typu gmachów teatralnych, znacznie prostszych i tańszych i wielokrotnie rozleglejszych”; „atmosfera kulturalna panująca obecnie w Polsce zdaje się niedobrze wróżyć” próbom opanowania ideologicznego kryzysu teatru; chroniczne są na koniec cechy kryzysu artystycznego; „aby się ocknąć z tego potrójnego letargu, potrzebuje teatr współpracy wielu czynników, które dzisiaj prawie nie istnieją”. Ta bardzo pesymistyczna ocena przypomina pierwsze słowa wspomnianego referatu Leona Kruczkowskiego: „Teatr w Polsce przedwrześniowej żył pod znakiem permanentnego kryzysu”. Dla Kruczkowskiego stwierdzenie tego faktu stało się punktem wyjścia dla rozmaitych tez programowych. Nie powiada on, jak jest dotychczas; wyraża tylko nadzieje na przyszłość, łącząc je z powołaniem do życia Rady Teatralnej. Te same nadzieje wypowiada Leon Schiller. Oby się sprawdziły!

Zamiedbanie czy też lenistwo „Teatru” odrobiła w części „Myśl Współczesna”, w której trzecim zeszyty ukazał się obszerny, wyczerpujący referat Leona Schillera, gorzki i posępny w charakterystyce lat ubiegłych teatru, pełen entuzjyzmu, gdy chodzi o perspektywy przyszłości. Schiller omawia podstawowe zagadnienia współczesnego teatru w Polsce, nie wahając się przed najbardziej bezkompromisowym potępieniem zła, jeśli się ono gdzie zagnieżdżyło (potępienie merkantylizacji w w teatrze, stosunek do twórczości teatralnej niemieckiej, niedociągnięcia w zakresie weryfikacji artystów). I Schillerowi śni się Teatr Ogromny i Schiller marzy o monumentalizacji. Ale idee jego tkwią korzeniami w rzeczywistości, i zagadnienia ideologiczne nie są oderwane od